

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 9 KWIETNIA 1927 ROKU

NR 15

TREŚĆ NUMERU: Rozmowa z Karin Michaelis — *Stefania Podhorska-Okołów*. Programowość Karin Michaelis — *J-a Stycz*. Awangarda niech spojrz i wstecz — *L. Konopacki*. Kobieta z kraju przygody — *M. H. Szpyrkówna*. W sto lat po zgonie Beethovena — *B. Szarlitt*. Wiersz: „Beethoven” — *Władysław Sebyła*. Plantator z Malaty — *J. Conrad*, przekład autoryzowany *Teresy Tatariewiczowej*. Rok 2200 — *Wanda Melcer-Rutkowska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (dok.) — *Helena Ceysingerówna*. Narciarki chlubą sportu polskiego (dok.) — *K. Muszałówna*. Kobieta w świecie i w domu — *H. S. Z* książek — *S. P. O. Z* teatrów — *Paula Lamowa*. Krótkie włosy i papieros. Radjostacja nadawcza — *Br. L. Życki*. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. Med. J. Świtalska*. Wielki tydzień — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Na ulicy — *Well*. Dwie czapeczki dziecinne. Dwie poduszki do gabinetu. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł. Arkusz wzorów*.

ROZMOWA Z KARIN MICHAELIS

Zimny poranek marcowy. Wietrzno. Na peronie dworca centralnego krzyżują się, rzekłbyś, wszystkie przeciągi Europy: od szafirowej Adoji, po lody bieguna, od wodnych zwałów Atlantyku, po stepy uralskie. Za chwilę przybędzie ta, której czekamy. Cudzoziemka. O sławnym na świat cały nazwisku. Czy spadnie do nas jak meteor, rozsypujący naokół iskry świetnego intelektu, czy przyleci, jako jedna z tych jaskółek, zwiastująca wiosnę braterstwa ludów?

Jaką się nam ukaże, jaką nam się wyda w zmatowionych blaskach poranka, w mętnej świetle nieprzespanej nocy i podróżnego zmęczenia? Napewno obca, daleka, przypadkowo z nami związana wątlami niemi momentu.

Ale otóż i ona. Wśród gromadki witających porusza się żwawo pani dobrej tuszy, jak się mówi po chłopsku „w sobie podufała”, wesoła, swojska jakaś i życzliwa. Zamienia powitalne grzeczności i uściski dłoni z ujmującą prostotą i serdecznością, w której niema nic z konwenansu. Zpomiedzy futer i szalików uśmiecha się jasna, świeża jeszcze twarz. Zpod podróżnego kapelusza wyryka się szczerka gęstych włosów, których płowosc już nieco zpopielaciała. A więc tak wygląda „wiek niebezpieczny”? I leż w nim życia, radości, pogody! Jaka bogata słoneczność!

* * *

Siedzimy w zacisznym saloniku Europejskiego hotelu, gwarząc. Jest nas parę osób. Właściwie przyszlismy robić tak zwany „wywiad”, ale ponieważ co

chwila ktoś wchodzi nowy, więc „interview” zamienia się — siłą rzeczy — w rozmowę towarzyską, którą prowadzi sama gospodyni. My tylko podsuwamy jej tematy, z których ona już wysnuwa sama właściwą melodię. I z przedziwnie kobiecą intuicją wpada na ton, najlepiej odpowiadający psychice interlokutora.

Zapytuję ją o stosunek do Polski.

— O Polsce słyszałam po raz pierwszy, jako dziecko. U nas, w Danji, wszystkie dzieci dowiadują się o Polsce w szkole nie z historii, bo ta, zresztą, zawsze kłamie, ale z utworu jednego naszego starego pisarza, który opiewał niedolę i tułaczkę polaków po rozbiorach. Tego wiersza uczymy się wszyscy na pamięć. Później czytałam Sienkiewicza Trylogię. A kiedy przyjechałam poraz pierwszy do Krakowa i zobaczyłam Wawel, jeszcze wówczas nieodnowiony, obudziło się w mej duszy dziecinne marzenie. Zamieszkać na kilka miesięcy w odludnej wieży i tam napisać książkę, książkę o Wawelu i Krakowie, tem jedynem mieście na świecie.

Ale potem wybuchła wojna i wydobyła na jaw wszystkie skarby bohaterstwa, poświęcenia, dobroci i miłosierdzia, utajone w duszach kobiet wszystkich narodów. O zasługach polek podczas wojny — wiem. Wiem choćby z czynów przyjaciółki mojej, Marji Lubomirskiej, która pozostawiła na pastwę wroga pałac, pełen pamiątek i dzieł sztuki, aby ocalić życie bezradnych staruszek i dzieci wiejskich, któremi zaopekowała się, jak prawdziwa Samarytanka, w niedoli uchodźczej.

Skierowuję rozmowę na przyszłość rozwoju kobiety.

— Sądzę — odpowiada mi Karin Michaelis, — że po obecnym kryzysie, jaki przeżywa kobieta powojenna, wyłonią się dwa zasadnicze typy: kobieta — matka, przygotowana do tego szczytnego powołania drogą głębokich studiów na polu pedagogiki i sztuki, aby móc godnie sprostać tak trudnemu zadaniu, jakim jest wychowanie młodego pokolenia, i kobieta, pracująca zawodowo, posiadająca wszystkie prawa, ale — podkreśla z naciskiem — i wszystkie obowiązki mężczyzny.

— A mężczyzna? co pani sądzi o przyszłości mężczyzny? — zapytuje jedyny w naszym gronie przedstawiciel płci „brzydkiej“.

— Ja nic panu nie mogę powiedzieć o mężczyznach, — odpowiada z filuterną minką Karin Michaelis — ja ich nie znam...

— Ale choć słówko o postawie dzisiejszego mężczyzny wobec kobiety, — przypuszcza atak nieubłagany kolega.

Wobec natarcia, liryczno-refleksyjny ton duńskiej pisarki błyskawicznie zmienia się w kolorycie. W objek-

tywnym świadku zdarzeń obudziła się bojownicza praw kobiety. Pokazała pazurki. Szykuje się do ciosu. Trzeba przyznać, że jej z tem jest bardzo do twarzy. W naszych oczach rozgrywa się ciekawy pojedynek intelektualny. Skrzyżowano szpady. Chwila milczenia. I oto ciszę przecina gładki, aforystyczny sztych paradoksu.

— Jaka jest postawa współczesnego mężczyzny wobec kobiety? Mam wrażenie, że nie uległa ona zasadniczej zmianie. Mężczyzna dzisiaj, zarówno jak przed laty stu, uważa, że wszystkie kobiety są do zdobycia, oprócz trzech: jego własnej matki, siostry i przyszłej żony.

Dosyć. Nasz agresywny kolega już nie pyta więcej. Wstaje, żegna się i wychodzi.

Żegnamy się i my, bo dziesięciominutowy wywiad przekroczył już godzinę. Z żalem ściskam dłoń Karin Michaelis. Instynktownie chciałabym ją jaknajdłużej zatrzymać w moich rękach. Czuję, że płyną z niej strumienie serdecznego ciepła i niewyczerpanej energii życiowej, znajdującej sobie drogę do serc i umysłów nietylko przez zadrukowaną bibułę, ale przez bezpośredni kontakt z żywym człowiekiem jutra.

Stefanja Podhorska - Okółów.



J-A STYCZ

PROGRAMOWOŚĆ KARIN MICHAELIS

Karin Michaelis przybyła do Polski, by podobnie, jak w innych większych miastach Europy, wygłosić odczyt na temat: miłość, małżeństwo, rozwód. Są to sprawy, które wistocie przenikają całą bogatą twórczość tej znakomitej beletrystki duńskiej. Sprawy, zdawałoby się, bliskie, lecz z powodu różnorodności form, w jakich się objawiają, wiecznie żywe i sięgające w głąb niespokojnego wirowiska duszy ludzkiej.

To, bowiem, co się widzi na płaszczyźnie życia, jest tylko uszeregowaniem faktów wesołych i smutnych, pospolitych i tragicznych. Dopiero artysta zdolny jest podjąć je z powszedniej poniewierki, aby wykazać pospólną im przyczynę, ten odległy początek, już w sobie mieszczący zarys całości aż po kres ostateczny, wchłaniający w siebie wszelakie sprawy tego życia. Kiedy czytamy powieści Karin Michaelis, odnosimy właśnie wrażenie, że celem jej jest odnalezienie tych czynników podstawowych, które, choć ukryte i tajemnicze, formują jednak po swojej woli spłot wydarzeń. Jest więc w utworach Karin Michaelis jak

gdyby łączenie przyczyn ze skutkami i stąd też wynika owa jasność kompozycji, tłumacząca postępowanie bohaterów, a zwłaszcza bohatererek. Przyczem umie autorka skupiać rozrzucone myśli i idee i dać im odpowiedni wyraz, ubrać je w słowo. Nie krzyczy ono, nie rozwichrza się burzliwie, lecz jest dyskretne i dlatego właśnie najlepiej wypowiada wstydlivą prawdę.

I właśnie ta prawdziwa twórczość duńskiej powieściopisarki jest szczególnie ważna, bo stwierdza, jak wiele i jak odmiennie może kobieta powiedzieć o pewnych zjawiskach życia uczuciowego.

Metody twórcze, którymi się posługuje Karin Michaelis, są proste i niewymyślne, a jednak umie autorka dobrać się tak wnikliwie do małej, biednej i smutnej duszyczki Ulli Fangel, umie nakreślić wyrazistymi liniami tragedję Elizy Lindter („Wiek niebezpieczny“). Niedola jej bohaterki stała się nawet wyjaśnieniem ważnego problemu psychologicznego i wywołała zaciekle dyskusje w sferach lekarskich. Kobieta w utworach Karin Michaelis nie przegląda się już

w zwierciadle konwenansów. Jest wolnym człowiekiem, który umie wziąć na siebie brzemie odpowiedzialności, jak to czyni bohaterka powieści „Metta Trapp“.

I w tem właśnie mieści się wielka społeczna zasługa Michaelis. Jej talent wspomógł bowiem wysiłek tych licznych działaczek, które w ostatniej połowie ubiegłego stulecia podjęły się niemałego trudu niweczenia odwiecznych przesądów. I podczas gdy całe zastępy kobiet walczyły o prawa człowieka, o zrównanie skali pracy i obowiązków, Karin Michaelis wywalczała uznanie jednakiej miary dla spraw uczuciowych kobiety. Z wytrwałością wykazywała Michaelis, że radości i cierpienia kobiety nie są mniej wartościowe, i że niema hierarchji, opartej na różnicy płci.

A, trzymając się zasady bezwzględnej równowartości odczuwania, tłumaczyła jasno i rozumnie różnicę w sposobie reagowania psychicznego u kobiety i mężczyzny. Tą drogą doszła Michaelis do sprawy tak ważnej, jaką jest — nieporozumienie między kobietą a mężczyzną. I chociaż wyniki jej spostrzeżeń są niejednokrotnie negatywne, a nawet pesymistyczne, to jednak idzie Michaelis w kierunku poznania przyczyny zła i usunięcia go ze współżycia. Trzeba więc, by kobieta wychowywała się w „rados-

nej szkole“ wewnętrznego uświadomienia, a mężczyzna nie wkraczał na piedestał, skąd śle kobiecie uśmiech wyższości. Radosna szkoła, w której wypienia się wzajemne lekceważenie, skrytość i podejrzliwość, ukształtuje ludzi dobrych, a przede wszystkim — wyrozumiałych.

Mimo programowości i bojowości, nie jest przecież autorka duńska tak zaciekle w swoim — powiedzmy — feminizmie, by wyzybyć się sprawiedliwego patrzania i tych zalet serca, które utworom jej dają nałot poetycki. Jest więc w powieściach Michaelis rzewność, sentyment i bezinteresowna dobroć, jest mocny fundament etyczny — w zrozumieniu poczucia odpowiedzialności człowieka za wszystko, co czyni.

Jest, zresztą, w opowieściach duńskiej autorki także to nieodzowne piękno, które czyni z tendencyjnych odtworzeń życia utwory, pełne wartości literackiej. Powieści Karin Michaelis są tłumaczone niemal na wszystkie języki europejskie, co świadczy o żywotności spraw, które głoszą. Może służy powieściopisarka duńska więcej sprawom życia, niż sztuki, ale jedno trzeba jej przyznać, że służbę swoją spełnia rzetelnie i wiernie. Programowość jej twórczości posiada już cechę — niezłomnej zasady. A to trzeba uszanować!



L. KONOPACKI

AWANGARDA NIECH SPOJRZY I WSTECZ

Zamieszczamy poniżej artykuł wybitnego publicysty p. Z. Konopackiego, nie jako ścisły wyraz poglądów redakcji, ale jako głos pewnego odłamu opinii publicznej w sprawie, żywo obchodzącej cały ogół kobiety.

Nie wątpimy, że głos ten nie przebrzmi bez echa i otwieramy na ten temat dyskusję, zapraszając do udziału w niej nasze czytelniczki, zarówno należące do „awangardy“ kobiecej, jak i do licznej rzeszy kapłanek domowego ogniska.

(przyp. Red.)

Wielka Wojna nauczyła ludzi stawać w szeregach. Nawykłych do obracania się w małym kółku osobistych spraw, do torowania własnej drogi i zaspakajania własnych ambicji, czy upodobań — nagle twardy mus żołnierski zgarnął, wtłoczył w karby rygoru, kazał walczyć i ginąć we wspólnym szyku.

Ten duch zwartego szeregu, zbiorowych wysiłków i wystąpień pozostał i nadal. Począwszy od naj-

pilniejszych spraw narodowych, jednostki coraz rzadziej ufają własnemu odosobnieniu, coraz powszechniej skupiają się w imię wspólnych interesów, lub idei.

Nawet bardzo osobiste sprawy, nawet trudności życia powojennego i tak, niestety, częsty nakaz egoizmu — dla ratunku poprostu, nie przeszkadzają przy każdej sposobności stawać ramię przy ramieniu, manifestować swe prawa, protesty, potrzeby. Nawet w obrębie tych dziedzin kultury, gdzie wyrobienie indywidualności było zdawna na pierwszy plan wysuwane, w dziedzinie literatury i sztuki — obserwujemy tworzenie się grup i grup, kapliczek, kółeczek, które chcą reprezentować wspólny program, wysuwać wspólne postulaty. Objaw ten zaznaczył się i w ruchu kobiecym, który przed wojną był, wprawdzie, już szeroko zorganizowany i skoordynowany, ale w obecnej dobie nabrał nowej racji istnienia i rozwoju.

W oczach naszych, rzecz można, wytwarza się cała falanga kobiet, różniących się psychiką, zainteresowaniami, wykształceniem, pozycją społeczną, — a jednak czujących głęboką solidarność wzajemną, podtrzymujących się we wspólnej ideologii, we wspólnej akcji o prawa kobiety, we wspólnym poczuciu wypowiadającej się w pełni indywidualności kobiecej, która coraz dobitniej zarysowuje się obok indywidualności męskiej, zgaszonej mocno przez nadmierne wyczerpanie przejściami wojny.

Może wydać się dziwnem, że, mówiąc o wznowieniu ducha zbiorowości i szeregu, mówimy równocześnie o wypowiadaniu się indywidualności kobiecej — a jednak istotnie — kobieta w środowisku kobiecym dopiero ma warunki do odnalezienia siebie w zupełności. Żadne sugestje nie ciąży na niej — jest wśród swoich.

Tak więc możemy dziś stwierdzić istnienie — w znaczeniu i narodowym, i międzynarodowym — wielkiej awangardy kobiecej, zdążającej przez naukę, pracę i organizację do zajęcia należnego stanowiska w nowych układach sił społecznych.

Na szerokim froncie tej walki wysiłki są skierowane naprzód, ku przezwyciężaniu oporu, ku radosnym zdobyczom — naprzód!..

Ale kto chce całość obrazu ująć, ten zapyta: jakież jest stosunek awangardy do tych, co za nią się znajdują, do tej bezimiennej rzeszy, istniejącej cicho, bez gromkich okrzyków, bez efektów publicystycznych, bez zjazdów i kongresów, bez tytułów honorowych, bez fotografii i wywiadów po piśmie?

Ta masa — to kobiety powszedniego obowiązku, to kobiety, stanowiące rdzeń każdej zdrowej rodziny, kobiety — żony i kobiety — matki, kobiety, o których mówi tylko dzień, przeżyty w rodzinie, proste witanie i żegnanie na progu własnego kąta, o których szepce cicho ufność męża, gwarzy dziatwa, których niewidzialnem światłem przesiąka wnętrze mieszkania, zacisze, po godzinach trudu i walki, „home, sweet home“...

Ta rzesza kobieca nie ma i dziś sposobności stawać w zwartym szeregu, chyba w jakichś wyjątkowych okolicznościach.

Oczywiście — bo nie może... Domowe ognisko jest terenem jej pracy, widownią jej cichych triumfów — odejść go nie może, bo ktoby pilnował? Bez jej wiedzy, spółdziałania, dyspozycji nic przecie w domu się nie dzieje. A jeśli się dzieje, to najczęściej — źle.

Te w awangardzie, które je reprezentują, nie znalazły — powiedzmy otwarcie — drogi do całkowitego porozumienia z niemi. Wydają się im często bier-

na masą. Prawda — czyż to, co jest treścią życia kobiety domowej, da się ująć w jakieś formuły, programy? Być węzłem rodziny — tego nie osiągnie się przez głosowanie. Promienieć cichą radością, poczuciem obowiązku, wytrwania razem w złej i dobrej doli — czyż nauczą tego patenty, lub kongresy? A więc — co tu dużo mówić — niech robią swoje — cicho i uczciwie.

A jednak — coraz to trudniej przychodzi. I tego jakby nie chciały widzieć, nie umiały wyjaśnić kobiety z awangardy, kobiety na odpowiedzialnych stanowiskach, kobiety, pracujące naukowo, piórem, czy pendzlem, kobiety-organizatorki, działaczki oświatowe, posłanki...

A jednak w rodzinach źle się dzieje, bo spiętrzone trudności życia i zatruta atmosfera życia w miastach rozluźniają coraz powszechniej uświęcone związki i wspólnoty. Pewnie, można się obronić argumentem, że jest to sprawa prywatna, ale od kogóż, jak nie od kobiet czołowych mają usłyszeć te kobiety z rzeszy słowo porady, zachęty, odczucia w ich walce z wrogami, z pokusami, z niedolą?

Od mężczyzn w najlepszym wypadku doczekają się komplementów i to nie zawsze, bo dziś kobieta z dancingu zbyt często pozuje im do obrazu, „jedynej i wysnionej“. Doczekać się muszą właśnie od tych, które mówią wprawdzie, że gotowanie rosołu nie rozwiązuje żadnych problemów, a w dzieciennym pokoju nikt z fachowym podręcznikiem nie będzie studjował — ale które przecie też posiadają — serce...

Tylko wyciągnąć dłoń, tylko poprzeć moralnie, tylko zachęcić cieplejszem słowem te rzesze, wytrwale pełniące swój obowiązek, przepleciony tak często cichym heroizmem i milczącą ofiarą...

One też nieraz chcą się wypowiedzieć, one też mają swe szersze pragnienia i ambicje — ale — nie umieją ich sformułować! Najczęściej łyż są jedynym wyrazem ich duszy, łyż — w przerwie między jednym zajęciem, a drugim, jedną troską, a drugą...

Ileż sił nowych znalazłyby te kobiety w chwilach zwątpienia i rozterki, gdyby mogły uświadomić sobie, że kobiety jutra, kobiety z awangardy, są z niemi, w ich codziennej walce o egzystencję i pomyślność najukochańszych istot, o czystość gniazda rodzinnego, o to wszystko, co wspomina się dopiero po śmierci z poczuciem, lecz już niewiele potrzebnem, wzruszeniem.

W chwilach wolnych od pracy programowej, od obowiązków reprezentacyjnych, niechże kobiety z awangardy zastanowią się nad potrzebą sformułowania pragnień i trosk kobiety z rzeszy, kobiety rodziny...

Jej także, jak i Nieznanemu Żołnierzowi, łuk triumfalny się należy!



M. H. SZPYRKÓWNA

KOBIETA Z KRAJU PRZYGODY



tugłosa fama niesie—słusznie, czy nie—słusznie—o kobietach amerykańskich tak pochlebne dla nich—w sensie zdobywczy zarobkowych—wieści, że oczywiście, trudno się niemi nie zainteresować. Niema prawie sensacyjnej książki, gdzie-

by ktoś się w amerykance nie kochał, ktoś dla niej nie szalał, nie zdobywał fortuny i nie tracił majątku. Niema znów amerykańskiej książki, w którejby amerykanka nie znalazła z najkrytyczniejszego punktu najlepszego wyjścia, nie ocaliła zagrożonego bytu, nie zdobyła niewiernego stanowczością, ambicją i dzielnością — niema takiej, gdzieby nie wywalczyła sobie ze straszliwej paszczy amerykańskiego miasta zarobku i bytu własną fachową zaradnością.

Muszę wyznać, że niebardzo umiałam sobie te dwa portrety uzgodnić. Tak rzadko kobieta pracująca — i to po amerykańsku, a więc po murzyńsku ciężko pracująca — umie zachować czar bohaterki powieściowych!... Maszyna do pisania i atrament plamią kobietę zaiste w sposób niewypieralny — piętnują stemplem zarobkowym. Jest to zawsze istota, która nie ma czasu na fryzjera i „salon de beauté“, która czegoś nie zdążyła i coś właśnie wybiera się zrobić, ale zawsze potem, jak powinno było już być zrobione. Czy owa bohaterka przygody amerykańskiej przez wielkie P., jest odrazu i biuralistką, i uroczą? Czy jest odrazu i dobrą biuralistką, zwłaszcza? Bo urocze zdarzają się wszędzie, i z niekłamanym wdziękiem nie robią tego, co powinny (i naodwrot). Czy taka amerykańska nowa kobieta naprawdę istnieje?

I pokazało się, że — istnieje.

Kiedy poraz pierwszy zetknęłam się z grupą amerykanek — naprawdę amerykańskich amerykanek, w samem sercu ich kraju, w Chicago — ogarnęło mnie zdumienie. Jaktó! Więc takie są owe osławione feministki i bojowniczkі równouprawnienia? Kobiety, zarabiające wielkie tysiące dolarów, tworzące ligi, kongresy, stowarzyszenia, na świat cały znane, i Bóg wie nieco jeszcze? Takieżto są?... O zdumienie...

Zobaczyłam cały wyraj (było to w klubie Y. W. C. A.) ślicznych stworzeń, które przede wszystkim robiły wrażenie czegoś niesłychanie eterycznego. Amerykanka składa się z bardzo wysokich obcasów, bardzo podkasanych i smukłych nóżek, bardzo przejrzystej krepdeszynki od kolan do ramion i bardzo puszystej fryzury. Jest z urzędu cieniutka i smukła, dzięki modzie, gimnastyce, sportom i diecie (amerykanka po obiedzie pije na ten cel gorącą wodę, jak my — herbatę) — prawie zawsze bardzo zgrabna, bardzo

świeża i bardzo umalowana. Ponieważ przytem ubiera się przeważnie w barwne kapelusze i ma pełno bransoletek, wisiorów, „porte-bonheur’ów“ i szelestów, w masie robi wrażenie „bajecznie-kolorowe“ i — trochę ptasie. Ten ptasi rys w oczach, a zwłaszcza — w uszach europejki, zawdzięcza wymowie. Ciężka angielszczyzna w ustach młodych angielek, a zwłaszcza — amerykanek — nabiera wszelkich cech delikatnego i trochę kapryśnego ptasiego szczebiotu, który narazie sprawia wrażenie manjery. Potem jednak to mija — w miarę osłuchiwania się z obcą mową i wymową. Rozmawiają naturalnie, ale właśnie naturalność ta ma wszelkie cechy rozświergotanych egzotycznych ptaków. Mogą w tem być kolibry, papużki, lub nawet rajskie ptaki — mogą być i zwykłe, tylko zaoceńskie, kawki — ale wszystko to jest skamertonowane w innym — delikatniejszym — bardziej dziecinny i spieszczonym tonie. My, słowianki, w ten sposób nie potrafimy mówić na codzień, nam tylko zdarza się czasem, w rzadkich okresach, kiedy się można czuć kapryśnem, lecz miłem komuś dzieckiem — wpaść na troszkę w ten ton. Ale tylko na troszkę i tylko bardzo prywatnie. Myślę, że nasze życie, wiekami i wiekami, było o tyle twardsze, że same struny głosowe ułożyły nam się w innej niejako oktawie — i niewątpliwie sztywniejszej i bardziej męskiej. Mówię naturalnie o średniej kobiecie, o tłumie, jaki tam widziałam.

Co się jednak dzieje w tych główkach o fryzurze, pielęgnowanej chytrze sztukami prawdziwego amerykańskiego „champooing’u“? Czy kryją się również i ptasie mózdziki?

Życie i historia kobiet w Ameryce woła wielkim głosem, że — nie! Należy bodaj przejrzeć tylko instytucje kobiece przez kobiety dla kobiet założone i kobietami rządzone — a rządzone pierwszorzędnie! Należy tylko zestawzić nazwiska kobiet: politykanek, kierowniczek, mówczyń, organizatorek — „kobiet stanu“, tak, jak istnieją „mężowie stanu“. Należy zwrócić uwagę na wszechprzenikalną, nieustępliwą ich zwartość i zdobywczosć w opanowywaniu wszelkich możliwych dziedzin życia państwowego, ich szeroko zakreślone poczynania organizacyjne, ich wspaniałe wyćwiczenie społeczne, ich niebywałą wytrwałość w spółzawodnictwie z mężczyznami. Niell!. Tego ptasie główki nie potrafią! Czy może — w Ameryce, jak w każdym kraju, są kobiety i kobiety?

Prawdopodobnie, poczęści jest i to — z taką, jednakże, różnicą, że w Ameryce każda przeciętna kobieta jest bardziej męska, niż u nas, w sensie praktyczności, samodzielności i zwartości charakteru. Ale dzieje

się to — szczegóły, godny uwagi — absolutnie poza jakimśi cechami zewnętrznymi maskulinizmu. Amerykanka chodzi w spodniach (z czym jest urocza), jeździ konno, zdobywa konkursy kowbojskie — i to wiele wcześniej, niż u nas o tem słyszano — i, mimo to, pozostaje najgłębiej kobietą, o pieszczotliwym, kapryśnym głosiku i nieprzeliczonych „trick’ach” odwiecznej kobiecej kokieteryj. Czy dlatego, że zaczęła się umężyć nie od strony sztuczności salonowej, lecz od mustangów, ściganych z lasso po prerjach? Że wyhodowało ją słońce i powietrze, zamiast naszych elektrycznych żyrandoli w zaduchu dancingów? Nie wiem! W każdym razie, pomiędzy garsoną ze słynnej książki Marguerita i jej odzworami europejskimi, a wyzwoloną amerykanką: leży — dosłownie — Atlantyk — i zdaje się, że na korzyść amerykanki.

Na tej męskości wewnętrznej (czy nie pochlebiamy zabardzo panom stworzenia, przynajmniej takim, jakimi są dziś?) — przy nad wyraz starannem pielęgowaniu swej kobiecości zewnętrznej: polega, jak sądzę, duży wdzięk amerykanek, czyniący z nich, mimo wszystkie ekstrawagancje, bohaterki nieśmiertelnej Przygody dla mężczyzn. Pod rozpuszczoną wdzięczną fryzurką takiej „girl” — przeciętnej panienczki, zarobkującej, uczącej się, muzykującej, czy społecznikującej myśli układają się zawsze bardzo praktycznie i rzeczowo. Dolar amerykański tylko w Europie uchodzi za łatwy do zdobycia — w Ameryce liczą się z groszem nieporównanie ściślej i logiczniej, niż u nas. A przedewszystkiem liczy się z nim ubrana, uczesana i wymanicurowana, jak fryzjerska laleczka, amerykańska girl. Jeżeli musi zarabiać na siebie, zarabia, bo musi. Jeżeli mieszka z rodziną i niekoniecznie tego potrzebuje — zarobkuje, bo chce mieć swoje własne

pieniądze. Przypuszczam, że na tem prostem założeniu wyrosła emancypacja amerykanki: ten, ma kto środki, nie potrzebujące poparcia opiekunów, może zawsze z pod opieki się de facto wyzwolić. To też amerykańska rodzina jest gronem niezależnych od siebie przeważnie osób, zamieszkałych z dobrej woli, lub ekonomicznych względów, razem — ale każdej chwili zdecydowanych na rozseparowanie wpływów i wydatków. Konieczność usamodzielnienia materialnego wisi, niejako, w amerykańskim powietrzu — i stąd te komiczne, wzruszające, lub wstrząsające nieraz historie małych chłopców, wyprawiających się po (i osiągających je) — milionowe fortuny; lub konflikty rodzinne pomiędzy młodzieńcami dziewczętami, idącymi na własny chleb, żeby osiągnąć jakieś swoje założenie życiowe. Każda amerykanka wie, czego chce — i większość z nich czegoś chce. To — już wiele!... Więc zarabia — stokrotnie skromniej, niż my, i ciężiej — i odkłada bodaj dolara z każdego wpływu pieniężnego. To metoda, i doskonała!

Ma wówczas własne pieniądze, które wolno jej zużyć podług rzewnego widzimisię, niepodlegającego krytyce, ani ingerencji. Wolno jej pojechać do Afryki i odkopać faraona, założyć klub sportowy, sprawić sobie trzydzieści dwie suknie, lub zorganizować jakąś wszech europejską „touring party for lonely girls”. Wówczas to, w ciężko zarobionych wakacjach od stenografji, czy sklepu z kapeluszami — amerykanka jedzie... Ach!... trudno, zresztą, przewidzieć, dokąd pojedzie!... Przeważnie — w krainę przygody, absolutnie niedostępnej europejskiego składu kobiecie — i o której do nas dochodzą tylko fascynujące, jak bajka, a niemniej prawdziwe „amerykańskie” historie z tysiąca i jednej nocy!

B. SZARLITT

W STO LAT PO SKONIE BEETHOVENA



niezwykłą czcią cały świat kulturalny obchodził w ubiegłym miesiącu setną rocznicę skonu Beethovena. Już w samym fakcie, że cieniem twórcy „Dziwiatej” składały hołd nietylko sfery muzyczne ludzkości cywilizowanej, ujawniało się wyjątkowe stanowisko,

jakie Beethoven zajmuje w dziejach kultury ludzkiej. Można o nim wprost powiedzieć, iż był pierwszym genjuszem muzykotwórczym, dzięki któremu ludzkość zrozumiała, że sztuka tonów nie jest bynajmniej jakimś ezoterycznym misterjum, przeznaczonem wyłącznie dla garstki wybranych, ale jedną z najpotęż-

niejszych części składowych kultury. On sam najpierw zdał sobie sprawę z tego znaczenia muzyki. „Muzyka jest o wiele wyższem objawieniem, aniżeli wszelka mądrość i filozofja”. Temi lapidarnemi słowy wyznaczył sztuce tonów zupełnie nowe miejsce, jakie odtąd zająć miała w życiu kulturalnem ludzkości.

Długo jednak trwało, zanim nawet świat muzyczny zrozumiał całą doniosłość zwrotu, dokonanego przez Beethovena w dziedzinie sztuki tonów. Pierwszym, który ją w prawdziwie kongenjalny pojął sposób, był Ryszard Wagner. W niedoścignionem do dziś dnia studjum swoim o Beethovena, mistrz bay-

reucki odsłonił nietylko światu muzykalnemu, ale całej ludzkości cywilizowanej właściwą rolę, jaką w dziejach sztuki tonów przypadła temu najpotężniejszemu jej genjuszowi muzykotwórczemu. Wagner wyznał przedewszystkiem otwarcie, iż dopiero z chwilą, gdy wgłębił się w dzieła beethovenowskie, zrozumiał wogóle, co to jest muzyka. Nie ulega też wątpliwości, że to, co twórca „Tetralogji“ zdziałał w dziedzinie muzyko-twórczej, bez Beethovena nie byłoby absolutnie do pomyślenia. Dziś wiemy już, że cała muzyka nowoczesna początek swój wzięła od twórcy „Dziwiatej“.

Na czym że polegał zasadniczy zwrot, dokonany przez Beethovena w sztuce tonów?

Otóż, przedewszystkiem, na niesłychanym wzbogaceniu możliwości wypowiedzenia w tonach tego wszystkiego, co w duszy ludzkiej nurtuje. Przed Beethovenem człowiek w muzyce odzwierciedlał, rzecz można, świat cały, tylko nie siebie samego. W gigantycznej „symfonji“, stworzonej przez wszystkich poprzedników Beethovena, odzywały się „głosy“ mnogie, brakło w niej zaś jeszcze „głosu“ tego, który dla nas jest najbardziej zrozumiały: własnego wnętrza naszego. Filozofowie greccy nazywali wszechświat „makrokosmosem“, zaś człowieka „mikrokosmosem“, chcąc tym sposobem zaznaczyć, że w nas samych jest ten wszechświat cały zamknięty, jakby w łupinie. Otóż o muzyce przedbeethovenowskiej powiedzieć można, iż w niej rozbrzmiewał ów „makrokosmos“ grecki, zaś w beethovenowskiej — po raz pierwszy — „mikrokosmos“. Ale w tem właśnie tkwiła zasadnicza zmiana, jaka, dzięki Beethovenowi, dokonała się w świecie tonów, że ten jego „mikrokosmos“ dźwiękowy zawierał w sobie zarazem — w sposób wprost mistyczny — także i cały „makrokosmos“. Wyśpiewując — jak nikt przed nim, to, co się w duszy ludzkiej dzieje, Beethoven odsłonił nam jednocześnie pełne tajemnic węzły, łączące nas z wszechświatem. Przez medjum jego muzyki odczuliśmy dopiero, ile „nie z tego świata“ jest w naszym własnym wnętrzu. To był jego czyn przełomowy, dzięki któremu sztukę tonów popchnął na zupełnie nowe tory, któremi kroczyć miała muzyka doby naszej, począwszy od Ryszarda Wagnera.

Jest bez wątpienia coś mistycznego w tem, że Beethoven stracić musiał cielesny narząd słuchowy. Czyż bowiem ten cios straszliwy, uważany przez niego samego, a i przez nas — z „ziemskiego“ punktu widzenia — za „tragedję“, nie był jakby jakąś metafizyczną koniecznością, ażeby genjusz beethovenowski zmuszony był wsłuchiwać się duszą w zaświaty? Pewnem jest, że dzieła, stworzone po utracie słuchu, dosięgły wyzyna, do dziś dnia nieprześcignionych. Jak wyraźnie zaś w twórczości Beethovena zaznacza się różnica między jednym, a drugim okresem, tego dowodem najwymowniejszym Symfonia z C-moll, stworzona po spisaniu sławnego „testamentu z Heiligenstadt“, w którym Beethoven krwią serca swego skreślił

to wszystko, co się w duszy jego działo, gdy doszedł do przekonania, że już nic nie słyszy. W tej symfonji odzywa się poraz pierwszy nowy, nieznany przedtem świat tonów, w który Beethoven odtąd wgłębia się coraz bardziej i zdumiewa nas coraz to potężniejszymi arcydziełami, odsłaniającymi przed nami tajemnice wszechbytu. Co zaś może jeszcze znamiennejsze, to że z chwilą, gdy utrata słuchu przemienia rozkochanego przedtem w życiu doczesnem Beethovena w samotnika, budzi się w nim potrzeba przebywania jaknajwięcej na łonie natury, zetknięcia się poniekąd z przyrodą, by z niej czerpać natchnienie. Dusza Beethovena łączy się już na tym świecie z wszechbytem, poznaje w drzewach, kwiatach, strumykach swych „braci“, i znajduje wreszcie drogę, wiodącą do Tego, co wszechbytem rządzi: do Boga. Z każdym niemal dziełem, stworzonym po utracie słuchu, Beethoven oddala się coraz więcej od ziemi, aż wkońcu — w nawskroś już mistycznych „ostatnich kwartetach“ — wznosi się całkowicie w zaświaty.

Ta droga zaś, którą przebył, jak „Dante przez piekło“ nietylko, ale i przez niebo, wzbogaciła sztukę tonów w niesłychane skarby dźwiękowe, z których do dziś dnia czerpie. Pod względem form Beethoven muzyce niewiele nowego przysporzył, ale rozszerzył dawne w sposób, który rozstrzygnął o jej dalszym rozwoju.

Przez niego nietylko „symfonia“ stała się dopiero tem, czem dziś jest, ale muzyka orkiestralna wogóle rozwinąć się mogła do dzisiejszego swego poziomu.

Na nim budował najpierw Wagner, a potem wszyscy twórcy muzyki nowoczesnej. A nic może wymowniej nie świadczy o wielkości i jednorazowości genjuszu beethovenowskiego, jak fakt, iż mimo olbrzymiego postępu sztuki tonów od chwili, gdy twórca „Dziwiatej“ zszedł z tego świata, arcydzieła jego nie tylko nic na swej potędze nie straciły, lecz, przeciwnie, za czasów naszych dopiero promieniają całym swoim niezrównanym blaskiem.

My, bowiem, rozumiemy dopiero właściwego Beethovena, który, jak każdy prawdziwie wielki genjusz, dla współczesnych nie mógł być całkowicie zrozumiały, gdyż wyprzedził ich o liczne pokolenia. W genjuszu beethovenowskim my dziś poznajemy jakby gigantyczną soczewę, w której skupiło się to wszystko, co jest znamieniem człowieka nowoczesnego. Niema w duszy naszej przeżycia, któreby w muzyce Beethovena nie znalazło owego „analogon w tonach“, o którym mówi Schopenhauer w swych głębokich rozważaniach o sztuce tonów. Dopiero człowiek nowoczesny wyczuwa w tej muzyce to wszystko, co Beethoven w niej wypowiedział. I dlatego też dla nas Beethoven przestał być tylko „muzykiem“, gdyż my dopiero pojęliśmy głębokie znaczenie jego słów, że „muzyka jest o wiele wyższem objawieniem, niż wszelka mądrość i filozofja“.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

BEETHOVEN

Chmury fajczanych dymów i mdławy zapach piwiarni,
W drgającym, żółtem świetle — ludzie ruchliwi, czarni.

Zamknij łwie oczy, a w głowie głuchej — tak, jak pień głuchej,
Mózgiem wielkim jak świat szarpną chaosu wybuchy.

To z gwiazd, których nie widać, to z granatowej pustki
Nadlecą rzek szmaragdowych ciche — najcichsze pluski.

W szumiącej powodzi smyczków wicher drzewami zatarga,
W rzekach płynącej wieczności modlitwa zastygnie na wargach,

Potem krew lunie w żyłach potopem miłości wezbranej
I świat zaleje jak Bóg, płaszcem zniszczenia owiany.

Zadrgają wszystkie mięśnie, w najsroźszym bólu stężeją,
Łzom, które nie spłynęły, wyorzą bródz koleje.

Ze źródła ukrytego radość strumieniem wytryśnie,
Nad lesistemi wzgórzami bezgłośnie słońce zawiśnie.

Noc ziemię wilgotną pokryje niemym, głębokim namiotem,
Ren załśni i rany obmyje fal tajemniczym chlupotem.

Za chwilę znów zarzą chmury i niebo stratuje deszczem,
I wiatr zaciśnie na drzewach miękkie, trzeszczące kleszcze.

W huku piorunów i groźnej śliskich błyskawic agonji
Splotą się — radość i ból nienapisanej symfonji.



J. CONRAD

2

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

— Nie przywiozłeś go czasem ze sobą, aby się rozwał?

Plantator z Malaty spojrział na niego ze zdumieniem, potem, potrząsnąwszy głową, rzekł niedbale:

— Zdaje się, że dobrze mu tam, gdzie jest. Ale chciałbym się dowiedzieć od ciebie, dlaczego młodemu Dunster'owi tak chodziło o to, abym był u jego wuja na tym wczorajszym obiedzie; wszyscy chyba wiedzą, że nie należę do ludzi z towarzystwa.

Redaktor oburzył się na tyle skromności. Czyż nie był jednym jedynym odkrywcą tutejszych bogactw i pierwszym plantatorem, który sadził rośliny jedwabnicze?

— Ale to mi nie wyjaśnia, dlaczego zostałem wczoraj zaproszony. Gdyż nigdy jeszcze młody Dunster nie zrobił mi tej uprzejmości...

— To fakt, że nasz Willie nie czyni nic bez powodu — rzekł dziennikarz.

— I to jeszcze zaprosił mnie do domu swego wuja.

— On tam mieszka.

— Tak, ale mógł mnie zaprosić gdzie indziej. Szczególniej, że stary nie miał mi nic szczególnego do powiedzenia. Uśmiechnął się do mnie dobrotliwie parę razy i na tem koniec. Zebrało się tam liczne towarzystwo, około szesnastu osób.

Redaktor, wyraziwszy żal, że nie mógł być, zapytał, czy towarzystwo było przyjemne.

Renouard żałował także, że dziennikarz nie był na tym obiedzie, gdyż może mógłby mu coś powiedzieć o paru osobach, niedawno przybyłych z Anglii, które były między zaproszonymi. Wiedzieć o wszyst-

kiem, co się dzieje na tej półkuli, to jego zajęcie, a raczej jego zawód. Młody Dunster (Willie), z szerokim przodem od koszuli i z czarnymi, przylepionymi do czubka głowy, kosmykami rzadkich włosów, wśród których przeświecała biała skóra, rzucił się na Renouard'a i przedstawił go całemu towarzystwu, jak gdyby to był tresowany pies, lub cudowne dziecko. Stanowczo nie lubi Willie'go — jak wszystkich ludzi, których obecność przygniata.

Po tych słowach zapanowało milczenie. Zdało się, że Renouard nic już więcej nie ma do powiedzenia, gdy nagle zdecydował się na wyjawienie tego, co było rzeczywistą przyczyną jego wizyty w gabinecie redaktora.

— Wyglądali oni wszyscy, jak gdyby ktoś rzucał na nich urok.

Redaktor spojrział na niego z uznaniem: może to był skutek samotnego życia, lecz w każdym bądź razie Renouard dał dowód niezwyklej przenikliwości w odcyfrowywaniu fizjonomij ludzkich.

— Nie powiedziałeś mi nazwisk, lecz spróbuję odgadnąć, o kogo ci chodzi. Był to zapewne profesor Moorsom, jego córka i siostra.

Renouard przytaknął. Tak, była między nimi siwa pani. Lecz łatwo było odgadnąć z milczenia i wzroku, który unikał spojrzenia przyjaciela, że nie o siwą panią mu chodzi.

— Słowo daję — rzekł, odzyskawszy panowanie nad sobą — zdawało mi się, że zaprosili mnie tylko poto, aby córka profesora rozmówiła się ze mną.

Nie ukrywał, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim jej uroda; zresztą, każdy był pod jej urokiem. Różniła się od wszystkich obecnych, nietylko londyńską toaletą. Do stołu poprowadził ją Willie, nie Renouard. Zato, potem, na tarasie...

Wieczór był cudownie cichy. Renouard siedział na uboczu, samotny, i marzył, aby być gdzieś, daleko, najlepiej na swym żaglowcu, zdala od nudy obiadowej. Nie zamienił z innymi gośćmi przez cały wieczór nawet i czterdziestu słów. Nagle ujrzał ją, jak zbliżała się do niego sama, w półmroku tarasu.

Była wysoka i zręczna; głowę, uwieńczoną bujnemi włosami, nosiła z godnością: uderzyła go, jak coś szczególnego, była jak gdyby zjawiskiem z czasów pogańskich. Chciał wstać, lecz pewność, z jaką się zbliżała, nie pozwoliła mu się ruszyć z miejsca. Nie przyjrzał jej się tego wieczoru. Wzrok jego nie posiadał tej swobody, którą nabywa się w świecie, spotykając wielu obcych ludzi. Nie była to nieśmiałość, lecz powściągliwość człowieka, nieprzyzwyczajonego do stosunków towarzyskich i do ciekawych spojrzeń, rzucanych ukradkiem. Rzucił tylko na nią jedno przenikliwe spojrzenie i zaraz wzrok spuścił; zdołał jednak zauważyć,

że włosy jej były wspaniałego rudego koloru, a oczy bardzo ciemne. Zrobiła na nim silne, lecz przelotne wrażenie; zapomniał o nim zupełnie, aż do chwili, gdy ujrzał ją, jak szła tarasem, powoli, ale jak gdyby z hamowaną żywością; postać jej poruszała się rytmicznie i powiewnie. Gdy światło z otwartego okna padło na nią, włosy jej robiły wrażenie, jak gdyby były odlane z żarzącej się cieczy; widok tego hełmu z płonącej miedzi, o konturach roztopionego metalu, napełnił go podziwem. Lecz nie opowiedział tego redaktorowi, nie przyznał mu się także, że obecność jej zbudziła w jego umyśle obraz wiecznotrwałej miłości i że zrozumiał wówczas, jaką niedościgłą radość życia zawiera w sobie piękno. Nie podzielił się z redaktorem temi uczuciami, lecz opowiadał mu suche fakty w niewyszukanych słowach:

— Młoda ta osoba, zbliżywszy się, siadła obok mnie i zapytała: „Panie Renouard, czy pan jest Francuzem?”

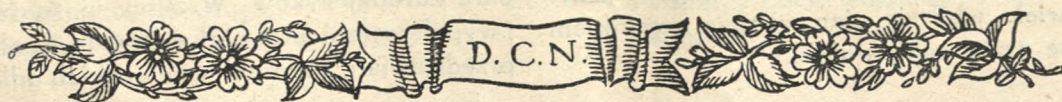
Nie powiedział też nic o zapachu nieznanego mu perfum, który go wówczas owionął. Głos jej był cichy i wyraźny. Obnażone ramiona i ręce olśniewały białością, a gdy wysunęła głowę tak, że padło na nią światło, ujrzał doskonale piękny kontur jej twarzy, prosty, cienki nos, o delikatnych nozdrzach, i niby namalowaną pendzlem, purpurową, cudowną plamę jej warg, odbijającą od jasnej cery. Wyraz oczu ginął w tajemniczej grze ciemnych źrenic, mieniących się srebrzyście, jak agat, w cieniu rdzawego złota włosów: zdawało się, że to istota, której ciało jest stopem drogocennych metali i kości słoniowej.

— ...Opowiedziałem jej o mojej rodzinie, mieszkającej w Kanadzie, i o tem, że wychowałem się w Anglii—nim tu przybyłem. Nie rozumiem, dlaczego interesowała się historją mego życia?

— Czy jesteś z tego niezadowolony?

Ton dziennikarza dotknął widocznie Renouard'a, gdyż odpowiedział przyciszonym głosem, z odcieniem niezadowolenia:

— Nie,—lecz po chwili milczenia ciągnął dalej:— Ale to wszystko jest bardzo niezwykle. Opowiedziałem jej także, że mając lat dziewiętnaście, to jest zaraz po ukończeniu szkoły, ruszyłem w świat. Podobno nieżyjący jej brat był w tej samej szkole na parę lat przedemną. Chciała się dowiedzieć, co robiłem, przyjechawszy tutaj i do jakiej pracy biorą się zazwyczaj po przyjeździe; dokąd się stąd udają; co się im może przytrafić; tak, jak gdybym z własnego doświadczenia mógł wiedzieć i opowiedzieć o losach tych ludzi, którzy tu przyjeżdżają z tysiącem różnych projektów, dla tysiąca różnych przyczyn, lub też bez żadnych przyczyn prosto, przygnani duchem niepokoju,—przyjeżdżają, wyjeżdżają i giną!



WANDA MELCER-RUTKOWSKA

ROK 2200

Na werandzie największego hotelu Collonges-sous-Salèves siedział w trzcinowym fotelu Szymon. W jego bezwładnie opuszczonej ręce dogasało smętne cygaro. Przed sobą, na całą szerokość spojrzenia, miał jeden z najpiękniejszych pejzaży Szwajcarii, ale widok ten napełniał go, raczej, zniechęceniem, niż, żeby miał w nim obudzić uczucie zachwytu. Szymon wypoczywał, nie dlatego, wszakże, żeby był zmęczony, tylko, jeżeli tak można powiedzieć, na zapas. W jego niezwykle czynnym życiu momenty bezruchu zdarzały się tak rzadko, że nadarzone wyzyskiwał z całą pasją, ceniąc je bardzo wysoko. Jedną z jego niezwykłych zdolności, doprowadzoną, zresztą, do zenitu ostrą tresurą, była właśnie ta umiejętność korzystania z każdej chwili, czy to takiej, która nakazywała całkowite wydanie się, czy, przeciwnie, doradzającej wypoczynek. Ciało Szymona słuchało też bezwzględnie jego woli: umiał on, na swój rozkaz, spać przez dwadzieścia cztery godziny, lub przez dni kilka nie spać wcale, umiał jeść dużo bardzo wtedy, gdy wcale nie był głodny, lub głodować wciąż dni kilku, gdy zachodziła tego potrzeba. Szymon nie znał słowa „nie chce mi się“, kiedy mózg jego uznał coś za stosowne, i temu całkowitemu opanowaniu własnego ciała zawdzięczał też całkowite panowanie i nad ludźmi, i nad wypadkami, pod których ciężarem upadają, zazwyczaj, przeciętni śmiertelnicy. Teraz, jednak, przed tą decydującą chwilą, która miała wydać wyrok na dzieło całego jego życia, Szymon nie był zupełnie spokojny. Otwarcie powiedziawszy, bał się, że zebranie może się przeciągnąć zbyt długo, a nie chciał — no tak, przyznawał się do tego, nie chciał, by Anna czekała na niego zbyt długo.

Na małym stoliczku służący postawił przed nim szklankę grenadiny.

— Czy nikt jeszcze nie przyszedł? — zapytał Szymon.

— Owszem, panowie zaczynają się już schodzić.

— A która to jest, właściwie, godzina?

Szymon zmuszał się do leżenia w bezruchu, jak dobry mechanik, który wie, że trzeba oszczędzać maszynę, którą się prowadzi i która ma służyć możliwie najdłużej. Postanowił więc nie sięgnąć po zegarek, nie zapalić nanowo cygara. Szkoda mu było energii, którą trzeba było zużyć na wyciągnięcie ręki po szklankę.

— Piąta dochodzi, proszę pana.

Kiedy służący odszedł, Szymon z pod przykrytych powiek wbił się nienawistnym wzrokiem w dobrze znane przed sobą widoki.

— Albo ja, albo ty, naturo — powiedział, przez zęby. — Zmierzymy się, paniusiu, zobaczymy, kto mocniejszy!

I kiedy tak leżał, czuł doskonale, jak wzbiera w nim cudowna fala energii, tej energii, graniczącej z boską jakąś siłą, która nie znała przeszkód na drodze swego zrealizowania się. Poczuł w sobie zdolność zapanowania raz jeszcze nad wielką i rozmaistą gromadą ludzką i wypełnienia tej jedynej rzeczy, jakiej nikt przed nim, nietylko nie wykonał, ale nie potrafił nawet pomyśleć.

Kiedy zdecydował, że upłynęła dostateczna ilość czasu, żeby dozwolić się zebrać wszystkim zaproszonym, wstał z nagłą i jednym ruchem, jak wstają zwierzęta. Pracowały w nim świetne mięśnie, wyrobione długoletnią walką o indywidualny byt. Sięgnawszy po szklankę, wypił duszkiem przygotowaną grenadinę, zapalił z powrotem cygaro, a za chwilę ciężkie drzwi hallu odgrodziły go od zniechęconego świata, któremu tak nielitościwą wypowiedział walkę.

W wielkiej sali hotelu zebrało się około dwudziestu mężczyzn różnego wieku, wszyscy najpotężniejsi władcy świata widzialnego, wszystko najtężsi przedstawiciele wszechmocnego nieledwie Stowarzyszenia Ziemi. Szymon mógł z dumą spojrzeć po tych ludziach wszelkich ras i narodowości, przez niego obudzonych do życia i połączonych w jeden mózg, jego myśl wyrażający.

Oto don José Armada, brazylijczyk, nieustraszony pionier, który doprowadził do końca wielkie dzieło zniszczenia dziewiczej puszczy nad brzegami Amazonki i Rio de la Plata. Oto pyszny kolumbijczyk, mieszkawiec bajecznego Eldorado, który stworzył olbrzymi trust bananowy, oddawszy mu do rozporządzenia całe dorzecze Magdaleny, a z Antjochji i Kartaginy uczyniwszy niezmiernie centra tego handlu. Oto mieszkawiec Chili, multimiljarder, zwany w skróceniu Chico, który puste skały nadbrzeżne, zmyte doszczętnie z bogatych pokładów guana, zamienił na żyzne pola. Oto Joe Mix, z Kanady, właściciel paru zbożowych prowincyj, oto Martin Eden, do którego, bez przesady, należało pół Australji, wraz z urokiem pełnem Sydney. Oto M'Bassa, posiadacz szczęśliwej dorzeczy płodnych Nilu. W kącie skupiło się paru władców z Azji: Jussuf Ata, który ostatecznie nawodnił ogromne pustynie Azji Mniejszej, mały Chińczyk Li-Czu, w którego portfelu spoczywały wszystkie pola ryżowe jego pięknej ojczyzny. Na środku sali stało paru europejczyków. Wszyscy ci panowie, wygładzeni i wypolerowani przez długotrwałe działanie pieniądza, przedstawiali, pomimo dzielącej ich odległości geogra-

ficznego stopnia, jeden prawie fizyczny typ człowieka, typ zdobywcy, o silnie rozwiniętych szczękach i przenikliwych oczach, umieszczonych głęboko pod brwiami.

Kiedy Szymon wszedł, na sali zapanowała cisza. Istota jego, wrażliwa dziś, jak seismograf, zarejestrowała ten objaw, jak przynależny hołd. Był on przecież pierwszym między tymi władcami świata, był ich mózgiem, ich właściwym panem. Wszystko, co powiedział, było dla nich ostatecznym wyrokiem. Walka między nim, a nimi, była skończona całkowicie w punkcie jego decydującego zwycięstwa. Nie było już właściwie, żadnego naprężenia, dzisiejsza rozmowa miała być już nie ostatnim słowem, ale punktem. Należało go postawić okrągło, ale nie trzeba już było nad nim myśleć. Szymon uprzejmie ścisnął wyciągające się ku niemu dłonie.

— Well — powiedział Joe Mix — stawiliśmy się wszyscy na wezwanie. Zdaje się, że wszystko już gotowe. Dziś, może już w tej chwili, rozpoczynamy dzieło.

— Sądzę, że znajdą się ludzie, szczególnie w Europie — zaakcentował szydersko Li-Czu — którzy gotowi nam wziąć za złe...

— Romantycy — przeciął krótko Joe Mix.

— Człowieku bez serca—mówił dalej Chińczyk—sądzę, że pan jest cały zrobiony z żelaza, jak precyzyjna maszyna.

Muskuły twarzy Szymona naszkicowały coś w rodzaju uśmiechu.

— Jeszcze czas się cofnąć—powiedział.

Dlaczego, właściwie, nie miał się nieco pobawić tymi ludźmi?

Li-Czu wzruszył ramionami.

— Czy ma nas pan za dzieci?

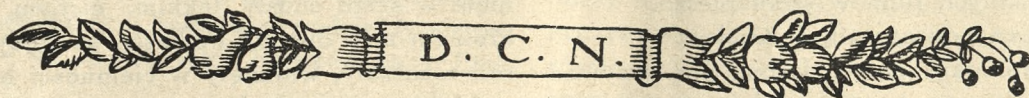
Teraz wmieszał się do rozmowy Chico:

— Ludźmi nie można rządzić, pytając się ich o zdanie, jak to uczynić. I my nie możemy się wahać i powodować jakimikolwiek względami. W wieku dwudziestym trzecim nie ma miejsca na parlamenty. Te stare formy przeżyły się już dawno. Doktor nie może się pytać chorego o lekarstwa, jakich używanie winien nakazać. W takie głupstwa bawiono się kilka set lat temu. My idziemy za duchem czasu.

— Tak — powiedział Li-Czu — wykonujemy potajemne rozkazy demona czasu. To on jest tym głosem, który w nas przemawia. Przez niego popędzenie, wykonujemy swoje prace niezwykle szybko.

— Nie będę już bronił mojego projektu—powiedział Szymon — zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem, niech się dalej broni sam.

— Więc zaczynamy—powiedział Joe Mix—może pan zechce jeszcze raz streścić nasze projekty i prace dla tych, którzy informowali się dotąd tylko listownie, poczem przystąpimy do podpisania aktu.



HELENA CEYSINGERÓWNA

15

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

W pewnej chwili w oczy arcybiskupa wpiły się nieustępliwie żrenice dwóch kobiet, nalane ogniem, mocne, pytające go o... wszystko...

Joanicjusz przymknął powieki. Pojazd przejechał. Kobiety cofnęły się w tłum, ale utkwily w pamięci.

Ubrane były obydwie w strój drobnych szlachcianek, chusteczki ciemne na głowach, ogólne wrażenie bardzo dlań niemiłe... Te kobiety miały złe oczy. Powóz jechał stępą, dzwon huczał...

I znów kobiety zabiegły mu drogę, znów ujrzał je archirej. Tym razem stały za tłumem, ale na pewnym wzniesieniu, oparte o cembrowinę kamienną studni.

Wtem rzekła jedna do drugiej.

— Nie ścierpię dłużej! On nie dojedzie!

Archirej oczywiście nie słyszał słów, ale w tej chwili drgnął i uczył w sercu jakieś przedziwne mdlenie.

Gdy pierwsza wyrzekła te słowa, druga chwyciła ją za rękę.

— Ksenia, co tobie?

A tamta sparła się o studnię i sprężywszy całe ciało, stała wyprostowana.

Chwyciła ją wpół towarzyszka, i uczuła, że ciało Kseni martwe jest, sztywne i twarde, jak kamień. Oczy tylko żyły, z wielką mocą i gniewem wpatrzone w pojazd arcybiskupa.

I nagle pojazd stanął. Same zatrzymały się konie. Świsnął biczem woźnica.

Daremnie!

Uniósł się na koźle i rozwiniętym długim biczem chlasnął pierwszą parę koni.

Powóz stał!

Z gniewem już więc począł okładać batem dyszłowe.

Nie ruszyły z miejsc!

Zrobiło się zamieszanie. Skoczyli policjanci, ujmując konie przy pyskach, usiłowali nakłonić je do biegu.

Bezsukutecznie!

Podziwem zakłósały się tłumy.

Wtem Joanicjusz stanął w powozie i, jakby dając do zrozumienia, iż wie, z jaką siłą zetrzeć mu się przychodzi, począł żegnać konie złotym, prawosławnym krzyżem. Konie nie drgnęły.

Tłum się uśmiechnął. Pobladł archirej, poczerwieniał obok siedzący wysoki dostojnik duchowny.

Kutanin przyskoczył do stangreta. Posypały się wyzwiska. Zrzucano go z koźla, jego miejsce zajął jeden z oficerów policji.

Szarpnął lejcam, świsnął batem, strażnicy krzykiem i razami nahajek podjudzali zwierzęta.

Na nic!

I zrobiła się nagle przedziwna cisza. Umilkł dzwon. Zrozumienie powszechne, jednolite padło na zwycięzców i zwyciężonych.—Cud, cud, cud... poszedł szept radosny po szeregach unitów.

Wtedy wysiadł archirej z powozu i do świątyni pośrodku nienawistnych tłumów szedł pieszo.

Ale naczelnika powiatu zdjął strach.

Przekłete katolickie czary! Lepiej nie wyzywać tych sił!

Skinął, podjechał jego ekwipaż.

Prawie przemocą porwał opierającego się przewielebnego Joanicjusza do swego powozu i, zasłaniając go sobą, jakby obawiał się jakiego zamachu, powiózł prosto na plebanję, omijając kościół i uchodząc z oczu rozegzaltowanym tłumom.

Tego dnia przewielebny Joanicjusz nie odprawił nabożeństwa przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Leśnej.

Tylko dzwon dzwonił...

* * *

Po kilkunastu minutach Ksenia jakby odstała od studni, i ręka, co ją obejmowała, uczuła, że ciało jej już nie jest sztywne i martwe. Przeciwnie, chwiewie się, jakby w osłabieniu.

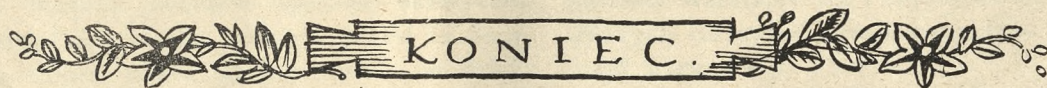
Wtedy białe, cudne ręce zaczerpnęły wody z wiaderka, stojącego na cembrowinie studni, i zwilżyły zlekka skronie i usta Kseni.

Zemdlona przyszła do siebie.

— Chodźmy stąd, panienko!

I poszły.

Szły dalekimi drogami wśród pól, szły miedzami polnemi wśród pożętych zbóż, szły przez ścierniska, nieużytki, wygony, szare podorywy, szły skrajem szumiących puszczy, brzegami szemrzącego strumienia, mijały wioski, dwory, kościoły... szły w bezbrzeżną przestrzeń pól, szły w otwartą, zamgloną dal, aż zaczął chylić się dzień, aż zaczął padać mrok... owinięte w szare chusty, lekkim, cichym, bezszelestnym krokiem szły duchny Podlasia, aż kędyś, na zoranej roli zszarzały, wniknęły w ciemności boru, przepadły w błękitnych mgłach...



K. MUSZAŁÓWNA

2

NARCIARKI—CHLUBĄ SPORTU POLSKIEGO

Jeśli z kolei — po ogólnej prezentacji czołowej klasy narciarek polskich — przejdziemy do omówienia ważniejszych zawodów kobiecych, mających miejsce w sezonie ubiegłym, będziemy musieli wziąć pod uwagę następujące imprezy.

Mistrzostwo Zakopanego. Trasa dla pań—8 klm. Meta i start w jednym miejscu. Bieg poprowadzony został po równej płaszczyźnie, nieurozmaicony żadnymi prawie zjazdami, stąd męczący i nużący. Pierwsze miejsce w biegu tym, a więc mistrzostwo Zakopanego, pewnie zdobywa Staszelówna, bijąc następ-

ną zawodniczkę, p. Loteckową, o przeszło 5 minut! Czas Staszelówny — 40 m. 23 sek. Drugie miejsce zajmuje p. Loteckowa. Czas 45 m. 57 sek. Trzecia przychodzi piętnastoletnia góralka Giewontówna, w czasie 55 m. 31 sek.

Następne — w porządku chronologicznym — są zawody narciarskie w Bukowinie. Bieg pań odbywa się na dystansie 4 klm. Pierwszemi dwoma miejscami znowu dzielą się pp. Loteckowa i Staszelówna, lecz w odwrotnym porządku. Loteckowa bierze odwet za Zakopane, wydzierając góralce pierwsze miejsce.

Zresztą różnica w czasie bardzo niewielka: Loteczko-
wa—25 m. 3 sek., Staszelówna — 25 m. 12 sek.

Mistrzostwo Lwowa. Dystans 8 klm. Startują
tylko dwie panie, obie lwowianki. Pierwsza do mety
przychodzi p. Bogucka w czasie 1 g. 13 min. 28 sek.,
druga — p. Gwizdałówna — 1 g. 18 m. 10 sek. Tra-
sa bardzo ciężka.

Mistrzostwo Krynicy. Dystans 5 klm. Startuje
8 pań, przytem wszystkie przychodzą do mety. Pierw-
sze miejsce w klasie I zdobywa p. Ziętkiewiczowa,
która po dłuższej przerwie z powodu choroby, poraz
pierwszy w sezonie stanęła na starcie. Czas — 18 m.
17 sek. Na drugim miejscu przybyła Dubieńska.
W klasie II zwycięstwo odnosi p. Skotnicka z Kry-
nicy, osiągając czas stosunkowo słaby—22 m. 10 sek.
Drugie miejsce przypadło p. Topielównie. W klasie
junjerek pierwsza do mety przybyła p. Sawczakówna
robiąc doskonały czas — 20 m. 04 sek.

Mistrzostwo Polski w Zakopanem. Trasa 6 klm.,
start na Gubałówce, meta we Wilczniku. Teren zja-
zdowy w dużej części. Bieg w konkurencji międzyna-
rodowej. Startuje 11 pań, do mety dochodzi 9. Ge-
neralne zwycięstwo, triumf bezkonkurencyjny odnosi
p. Loteczko, zdobywając mistrzostwo Polski w do-
skonałym czasie — 42 m. 26 sek. Następnie przychodzi
do mety p. Ziętkiewiczowa w czasie 47 m. 07 sek.,
dalej p. Dubieńska, Gwizdałówna i dopiero na piątym
miejscu — zawodniczka austriacka — p. Elly Stiller —
czas 52 m. 15 sek. W klasie drugiej pierwszemi trzema
miejscami w następującej kolejności podzieliły się pa-
nie: Bogucka — 48 m. 28 sek., Ponikowska i Lan-
dówna.

Staszelówna w zawodach o mistrzostwo Polski
udziału nie brała.

Prócz wymienionych biegów pań, Staszelówna
i Gwizdałówna brały udział ponadto w biegach mę-
skich junjorów, a mianowicie: w zawodach jubileusz-
owych K. T. N. we Lwowie startuje Staszelówna na
dystansie 9 klm. i przychodzi do mety druga. Wynik
niebawym, niestety, nazbyt wyczerpał młodziutką za-
wodniczkę. Ponadto w zawodach jubileuszowych klu-
bu „Czarni“ we Lwowie w biegu panów — junjorów
startuje poza konkursem p. Gwizdałówna na trasie
5 klm., osiągając czas o 5 m. gorszy od czasu zwycięzcy.

Przejdźmy z kolei do omówienia bilansu nar-
ciarskiego polek na terenie międzynarodowym.

Z punktu stwierdźmy prawdę ogólną, niezmiernie
radosną: zawodniczki polskie startowały czterokrotnie
w międzynarodowych zawodach w trzech róż-
nych państwach i we wszystkich czterech wypadkach
odniosły generalne zwycięstwo! Pomyślmy: nietylko
ani jednej porażki, lecz ani jednego drugiego miejsca!
Doprawdy, sukces to niepospolity, zgoła rzadki w wy-
darzeniach sportowych. Fakt ten stwierdza wymow-
nie, że zwycięstwa narciarek polskich nie są bynaj-
mniej dziełem przypadku, lecz prostem potwierdzeniem
naprawdę bardzo wysokiej klasy naszych narciarek.

W dziedzinie tych międzynarodowych sukcesów
znowu triumfatorką główną była Loteczko, zdoby-
wając dla Polski trzykrotnie pierwsze miejsce. Sekun-
dowała jej dzielnie p. Ziętkiewiczowa, zdobywając
czwarte zwycięstwo.

Loteczko startowała najpierw w zawodach
o mistrzostwo Słowacji, w obecności 7 obcych zawod-
niczek, i zdobyła mistrzostwo przed niemkami, czes-
kami i węgierkami. Dystans 4 klm. Następnie staje
na starcie w Chamonix w zawodach o mistrzostwo
Francji, zdobywając pierwsze miejsce przed francuz-
kami i szwajcarkami. Nareszcie w zawodach o mis-
trzostwo Tatr Południowych w Westerowie (Czecho-
słowacja), Loteczko po raz trzeci przychodzi pierw-
sza do mety, powtórnie bijąc swe współzawodniczki
czeskie, niemieckie i węgierskie.

P. Ela Ziętkiewiczowa brała udział w zawodach
międzynarodowych tylko raz jeden, a mianowicie:
w zawodach pań w Cortina d'Ampezzo (Włochy),
o tytuł „królowej nart“. Trasa 4 klm. Na starcie 14
zawodniczek. Do mety pierwsza przychodzi Ziętkie-
wiczowa, pozostawiając za sobą zawodniczki włoskie,
jugosłowiańskie i szwajcarskie.

Na przedstawionym powyżej zarysie syntetycznym
zawodów narciarskich w sezonie ubiegłym i roli, jaką
odegrały w nich zawodniczki polskie, zamykamy bilans
polskiego w tej dziedzinie dorobku.

Patrząc dziś na tak zwycięski pochód narciarek
naszych po śnieżnych szlakach międzynarodowych,
życzyć wypadałoby, aby pod znakiem poszumu od-
niesionych triumfów na śniegu — rozpoczęły pracę
sportową na zielonych boiskach te zawodniczki nasze,
które w dziedzinie sportów letnich pracują z myślą
o zwycięstwie.

Kobieta w świecie i w domu

WYSTAWA NAUKOWYCH PRAC KOBIET
W NOWYM JORKU

W ostatnich dniach marca r. b. otwarty został
w Nowym Jorku kongres Amerykańskiego Stowarzysze-
nia kobiet z wyższym wykształceniem (Association of
University Women). Podczas kongresu zostanie otwar-
ta międzynarodowa wystawa książek, wydanych przez
członkinie wszystkich stowarzyszeń narodowych, wcho-
dzących w skład kobiet z wyższym wykształceniem.

Zarząd polskiego Stowarzyszenia kobiet z wyż-
szym wykształceniem, pragnąc, aby i na tym terenie
zaznaczył się w odpowiedniej ilości polski dorobek
kulturalny, postarał się o zebranie odpowiednich prac
(naukowych i literackich) członkiń — autorek Sto-
warzyszenia, w celu wysłania ich do Nowego Jorku.

JESZCZE JEDNA KOBIETA MINISTREM

Po Małgorzacie Bondfield i Ninie Bang, Minna Sillanpää, w młodości służąca, została obrana obecnie ministrem opieki społecznej w Finlandji. Minna Sillanpää wyszła z ludu. Mając lat 12, została robotnicą fabryczną. Jako 16-toletnia dziewczyna porzuca fabrykę i zostaje służącą. Jako służąca, pracuje lat 8, mając zawsze czas, poza pracą u swoich chlebodawców, na samokształcenie się i nawet działalność organizacyjną. O własnych siłach zdobywa wiedzę i wykształcenie ponad przeciętną miarę.

Za jej sprawą powstaje Organizacja służby domowej w Finlandji, następnie Schronisko dla sług, pozabawionych pracy, oraz Kolonja wakacyjna.

W roku 1907 wchodzi, jako posłanka, do parlamentu. W dalszym ciągu pracuje niezmordowanie nad organizacją kobiet w Finlandji, wreszcie, jako znakomitą znawczynię problemów społecznych—powołano ją do gabinetu, na stanowisko ministra Opieki społecznej.

Minna Sillanpää jest także redaktorką kobiecego pisma w Finlandji, p. t. „Toverilla” (towarzyszka).

PRZYJĘCIE W P. E. N. KLUBIE NA CZEŚĆ KARIN MICHAELIS



Pośrodku stołu Karin Michaelis (bez kapelusza), obok niej na lewo. p. p. Zofja Natkowska-Gorzechowska (w kapeluszu), na prawo: J. Stycz (bez kapelusza) i Stefania Podhorska-Okołów. Na lewo z brzegu p. Bronisława Neufeldówna. Stoi w głębi sekretarz P. E. N. klubu p. Janusz Herlaine

W niedzielę, d. 27 marca odbył się w przepelnionej sali Konserwatorium odczyt Karin Michaelis, słynnej duńskiej pisarki.

Prelegentka poruszyła tematy najżywiej nas obchodzące, a uczyniła to w sposób subtelny, barwny i tak prosty, że sprawiał raczej wrażenie poufnej pogawędki ze słuchaczami.

Genezą wszystkich cierpień jest—podług p. Michaelis—wadliwe wychowanie, które dajemy naszym dzieciom. Zmysły budzą się w dziecku b. wcześnie, wcześniej może, niż przypuszczamy. Matka musi szczerze mówić zarówno z córką, jak i synem. Córka wiedzieć powinna, że odpowiada za swoje czyny i ponosić będzie ich konsekwencje przez całe życie. A syn, który zbyt często—już jako chłopiec—zbliża się

do kobiety w domu publicznym, pozostawiającym na nim niezatarte ujemne pojęcie o godności kobiecej, wierzy jednakże, że matka, siostra i „przyszła” żona są zupełnie innemi typami szlachetnych kobiet. W imię miłości synowskiej niechaj przyrzeknie matce, że do kobiety odnosić się będzie tak, jakby pragnął, żeby mężczyźni do niej się odnosili.

Każda kobieta stworzona jest do małżeństwa, jednakże jednostki o b. silnej indywidualności dają mniejszą gwarancję szczęścia małżeńskiego. Nie wymagajmy tylko zbyt wiele od kobiety. Trudno, by równocześnie była dobrą żoną, a więc towarzyszką i kochanką męża, wzorową matką, oszczędną gospodynią i dzielną pracownicą zawodową, lub społeczną.

Podstawą szczęścia małżeńskiego jest wzajemne zrozumienie się i szczerłość. Jednostki zazdrosne niech się śmiało do uczucia zazdrości przyznają. Wywołanie burzy przywróci prędzej harmonję rodzinną, niż źle ukrywany żal. Kobieta zawsze patrzy na męża, jako na mężczyznę, mężczyzna zaś często zaniedbuje w żonie kobietę, skazując ją na cierpienia. Drobnostką, paroma kwiatkami, można nieraz żonie zrobić stokroć większą przyjemność, niż bardzo kosztownym prezentem.

Najtrudnijszym jednak jest rozwiązanie kwestji materialnej, będącej powodem tylu wzajemnych nieporozumień. Niechaj każda kobieta nauczy się zapracować na swoje osobiste wydatki,

Karin Michaelis uważa zasadniczo rozwód za zło, które rzadko prowadzi do szczęścia.

Obecna forma małżeństwa pozostawia wiele do życzenia; nic lepszego, jednak, dotąd nie wynaleziono!

Karin Michaelis pragnie we wszystkich państwach wprowadzić w czyn ideę ubezpieczania dziewcząt zaraz po ich urodzeniu, by ustrzec je na wypadek śmierci ojca, lub męża, od nędzy.

Huczne oklaski były dowodem uznania dla prelegentki.

A. W.

ZE ZJAZDU KOŁA POLEK



Uczestniczki zjazdu po wyjściu z kościoła

D. 27 i 28 marca odbył się Zjazd Koła Polek przy udziale licznych delegatek kół prowincjonalnych i Koła Warszawskiego. Rozpoczęte nabożeństwem w katedrze i pięknym przemówieniem ks. kanonika Jachimowskiego, obrady trwały dwa dni, a cie-



Poświęcenie lokalu czyteln i biblioteki Koła Polek

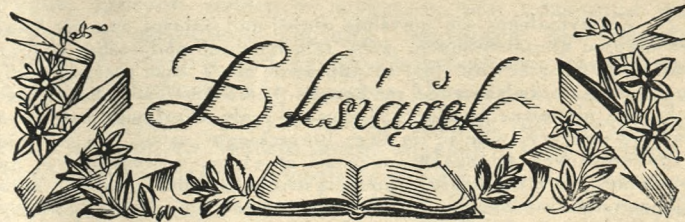
kawe referaty niewątpliwie przyniosły wiele realnej korzyści uczestniczkom Zjazdu.

Przewodnicząca Koła Polek, p. Konstancja Łubieńska, nawiązując do powstania Koła na terenie Mińska, zaznaczyła, że podstawą ideologii Koła Polek była zawsze miłość, zgoda i wzajemne zaufanie. Koło Polek pracowało i pracuje nad społecznym i narodowym wyrobieniem szerokich zastępów swoich członkiń i nad stworzeniem z nich zwartej organizacji, a dzisiaj, w chwili, gdy kobieta stanowi wielką siłę narodu, Koło Polek stawia sobie za najpierwsze zadanie pracę nad pogłębieniem religijnym, pogłębieniem powagi życia i godności kobiecej.

P. Czesław Ksawery Jankowski w referacie „O pracy oświatowej” nawoływał do prowadzenia tej pracy pozaszkolnej w szczególności na Kresach. P. C. Niemyska scharakteryzowała wpływ wychowawczy świetlicy na jej członkinie i na ich środowisko, p. G. Staszkieviczówna mówiła o potrzebie wnoszenia sztuki czystej do sfer najszerzych. Dr. J. Gruner w referacie „O wychowaniu fizycznym” nawoływał do jaknajszerszego zrozumienia i poparcia przez społeczeństwo sprawy wychowania zdrowego i silnego pokolenia kobiecego. P. Marja Podhorska zapoznała zebranych z dotychczasową działalnością Komitetu Przysposobienia Rezerw do Obrony Kraju. Referat jej wywołał gorącą dyskusję, w której przedstawicielki Komitetu wyjaśniły, że nie ma on na celu zmilitaryzowania kobiet, lecz przygotowanie fachowych i umiętnych ochotniczek do służenia państwu na wypadek wojny — w pracy pozafrontowej.

W dyskusji brały udział p. p.: posł. Puzynianka, Wołowska, Ukielska, Pełczyńska, Łubieńska i Ceysingerówna, która w gorącym przemówieniu dowodziła, że praca Komitetu Przysp. Rezerw powinna być tym terenem, na którym zgodnie staną obok siebie, — dla prawdziwego dobra kraju, — organizacje o różnych zabarwieniach politycznych. W drugim dniu zjazdu odbyło się poświęcenie lokalu czyteln i biblioteki Koła Polek przy ul. Nowy Świat 8/10, oraz wybory. Do zarządu zostały ponownie wybrane pp.: Marja hr. Tarnowska, Marja Bleszyńska, Marja Podhorska-Okołów. Na zastępczynię: pp. Wendowa, Bohuszewiczowa, Ukielska, dr. Nebelska, Wierczakowa, Strokowska, Sienkowska, Kołucka i Dziewońska.

Zjazd uchwalił szereg wniosków, wpływających z ogłoszonych referatów.



Zofia R. Natkowska. Choucas. Powieść internacjonalna.

Nakład Gebethnera i Wolfa.

Oto historia ptaków przelotnych i nieuchwytnych — Choucas. Pojawiają się one wśród ludzi, przygnane głodem, — aby po nasyceniu się — odlecieć w dal, której wyobrazić sobie nie można.

A obok — historia ludzi, pędzonych po świecie smutkiem i cierpieniem, którzy w tem osiedlu szwajcarskiem pragną odnaleźć pogubione wśród dróg życia, — radości. Czasem znajdują, częściej jednak odchodzą niepocieszeni, ale zawsze odchodzą w dalekość, których wyobrazić sobie nie można. Jak ptaki,

Choucas są przedziwne słodkie i zgodne. Nigdy nie widziałam — pisze autorka — żeby się były swemi żółtymi dziobami. Nawet jeżeli ich za dużo usiadzie na poręczy i nie wszystkie się mogą dostać do jedzenia. A biedna, mała panna Gossé, którą przyniośli do ziemi widmo wielkich nienawiści i zbrodni, mówi:

— Bóg nie może dawać zwycięstwa jednemu narodowi w walce z drugim narodem.

Na tej oto platformie usiłuje autorka rozstrzygnąć wielkie zagadnienie nienawiści narodów i ras. Z przedziwną maestrią daje nam przekrój dusz tych wszystkich ludzi, z których każdy jest całym światem, a wszyscy — zespoleni w jedność — cierpieniem. Z początku wydają się nam oni, jakby zmatowani i ściszeni, jakby dalecy od prawdziwego życia, a jednak wszystko w nich jest żywe i człowiecze, oprócz nienawiści. Dlatego odrazu zrozumieć ich nie możemy. Autorka bardzo głęboko spojrzała na ten świat ludzi cierpiących i z tej głębokości patrzenia właśnie wyłania się przedziwna harmonia ich współżycia.

Wartość tej przesłicznej książki podnosi jeszcze język, prosty, mocny, malowniczy. Oplata się on niewidocznie naokoło ludzi i rzeczy, wywołując wrażenie, że innym być nie powinien. A to jest najważniejsze.

Z. M.

*

M. H. Szpyrkówna. — „Godzina bijel” 1927

Wydawnictwo Zakładu Nar. Im. Ossolińskich, str. 190

Treść: Część I. — Godzina twej samodzielności. — Ty i twoje dalekie drogi. — Płazowaci, czy wyskrzydleni? — Głos na szczytach. — Praca Wielkiego Rzeźbiarza. — Tak, który chciałby cię zjeść. — Walka dnia powszedniego. — Ciosy wczorajszego bumeranga.

Część II. — Walka z trzema żądlami. — „Wyrób polski” i „wyrób angielski”. — Czy także okradasz? Pomyśl... — Pracowstręt, choroba pańskiej Polski. — „Płacę, bo chcę być bogatym”. — Błizny po cudzie. — Partja, która nie chce umrzeć. — Bohaterstwo Nieznanego Pracownika. — Obywateli Jutra.

Zewsząd słyhać narzekania na zagrożony byt polskiej książki. Zabija ją dziennik, magazyn, kino, przyspieszony, rwany rytm życia współczesnego, kryzys ekonomiczny, z którego społeczeństwu naszemu nie udało się jeszcze wypłynąć. Ale przede wszystkim zabija ją własna jej pustka. Czytelnik, sparzywszy się na kupnie jednego grafomańskiego elaboratu, który mu nie dał nic, oprócz nudy i irytacji za wyrzucone „lekomyślnie” pieniądze, przestaje wogóle książki kupować. Czy postępuje słusznie? Najzupełniej — nie, ale nie można mu się dziwić. Magistrat tylko ma prawo i obowiązek dostarczania obywatelowi wody, od literata żąda się zgoła czegoś innego.

Czytelnik, biorąc do ręki książkę, instynktownie pragnie oprzeć swój do niej stosunek na naturalnym prawie wymiany: Ja ci daję mój czas, moją uwagę, moje wytchnienie, ty mi zato zapłać nauką, korzyścią moralną, estetycznym zadowoleniem, rozrywką. Jeżeli nic z tego nie dostaje, rzuca książkę pod stół z wrazeniem człowieka, którego haniebnie oszukano.

Zatrzymaliśmy się umyślnie dłużej nad bolesną sprawą książek nikomu niepotrzebnych, żeby tem mocniej podkreślić walory dziełka p. Szpyrkówny. Jest to naprawdę mała kasa oszczędności, do której autorka skrzętnie pozbierała — nie chwiejne akcje paradoksów i niepewne banknoty frazesów — ale okruszyny szczerzego złota. Wystarczy podejść do tego literackiego „safes'u”, o ślicznie wypolerowanych ściankach, nacisnąć sprężynę, a wyskoczy ci na spotkanie, jak z automatu, „Godzina twojej samodzielności”, albo „Bohaterstwo nieznanego pracownika”, albo inny krótki, zwięzły artykuł, przejrzysty, jak kryształ, a zbudowany tak, że zazębiając się ideowo z sąsiadami, stanowi sam przez się i dla siebie skończoną całość, prawdziwy klejnot publicystyki.

Podane w nagłówku tytuły świadczą wymownie o rozmaitości i doborze treści. Nie tam nie jest przypadkowe, nie — napisane odniechcenia. Celem tej książki jest wychowanie obywatela. Do tego celu autorka zmierza stopniowo, krok za krokiem.

„Dziś, kiedy musimy budować naukę państwowości polskiej, przekonywamy się, że jesteśmy praktycznie analfabetami. I że, jak tworzymy szkoły początkowe dla dzieci, tak musimy stworzyć elementarne wykładniki obywatelskich postulatów nowego życia codziennego, których nam nasza tradycja nie przekazała, a których brak dotkliwie na losach państwa odczuwamy. Bo rząd strasza państwo, ale budują je tylko obywatele”.

Takim elementarzem obowiązków obywatelskich, napisanym żywo, gorąco, z zapałem, z mocą przekonania, z tężyzną zdrowego rozumu — jest książka Szpyrkówny. Powinna ona się znaleźć zarówno w rękach robotnika, jak na biurku męża stanu, jednako potrzebna jednemu i drugiemu. Dużo się, bowiem, u nas rozprawia o sanacji, o odrodzeniu moralnem, o potrzebie stworzenia nowego, odpowiedzialnego za swoje czyny, człowieka, ale naprawdę mało kto wie, jak ma się do tego wziąć.

A Szpyrkówna bierze za rękę tego obywatela jutra, który żyje i rośnie w każdym z nas, zagląda mu w oczy i powiada:

— Zaczynaj od siebie samego!

Zdawałoby się, taka prosta rzecz! Czyż może być coś łatwiejszego? Dekalog też jest prosty, a któż spośród nas spełnia go tak, jak powinien? Szpyrkówna ma specjalną zdolność przyoblekania prostych, dawno uznanych prawd w formy nowe i świeże. Dopomaga jej do tego w dużym stopniu niepospolity dar pióra. Jej książkę czyta się jednym tchem, jak romans. Choć, kto wie, czy nie lepiej rozłożyć ją sobie na etapy, przeczornie zakreślone ręką samej autorki. Będziemy mogli wówczas dostatecznie ocenić ten rytm wewnętrzny, który w niej pulsuje, rytm — pracującego ku dobru ojczyzny — serca.

S. P. O.

wet odebrać Amfortasowi świętą włócznię i przebić nią bok króla Zakonu. I oto pomimo kąpieli z cudownych ziół, przywiezionych z dalekiego Wschodu, rana króla nie zagoi się, póki, jak głosi wyrocznia nieba, nie zjawi się „prostaczek czysty — przez litość świadom”, który stanie się zbawcą króla. Jest nim Parsifal, głupiec, który, zaprowadzony przez Gurnemanza do świątyni Grała, nie rozumie nic z obrządku Wierzerzy — Komunii, ale serce jego jest czyste, niedostępne dla pokus w czarodziejskim ogrodzie Klingsora, nieczułe na wdzięki wabiącej go Kundry, a tak dobre, że przez „litość świadome” krzywd świętego Zakonu, doznanych, przez odebranie Amfortasowi świętej włóczni, Klingsor, widząc odporność Parsifala na wszystkie nastawione nań sidła, ciska w Parsifala świętą włócznię. Ale stał się cud i Włócznia zawisła w powietrzu, a gdy Parsifal chwycił ją i uczynił w powietrzu znak Krzyża, znikł czarodziejski ogród, zapadł się zamek Klingsora, pozostała tylko jedna dusza na rozdrożu — pokutująca Kundry.

Parsifal rozumie już swoje zbawcze posłannictwo i poszukuje przez długie lata zamku Monsalwat, aby zwrócić świątyni Grała świętą włócznię. W dzień Wielkiego Piątku przybywa Parsifal do osiedla Gurnemanza, który, widząc w nim zbawcę Zakonu, przygotowuje go do uroczystego obrzędu w świątyni, a Kundry, niby pokutująca Marja z Magdali, zmywa zdżozone tułaczka stopy rycerza.

Gurnemanz prowadzi Parsifala na zamek i tu odbywa się cud Wielkopiątkowy. Parsifal dotyka włócznią rany Amfortasa, który odzyskuje zdrowie, a Zakon na kolanach składa hołd nowemu królowi — Zbawcy, nad którego głową ukazuje się biała gołębia.

„Parsifala” wystawiono w Teatrze Wielkim z dużym nakładem starannego przygotowania i kultem dla stylu Wagnera. Śpiewacy naszej opery stanęli na wyżynie zadania, zarówno pod względem przygotowania partyj wokalnych, jak i kreacji dramatycznych, nastrożających duże trudności. Doskonale ujęty był tragizm Amfortasa (p. Mossakowski) patriarchalność Gurnemanza (p. Michałowski) i nieświadomość złego Parsifala (p. Gruszczyński). Jedną tylko Kundry (p. Budziszewska), skupiającą w swojej partii wokalne i dramatyczne wszystkie złe i dobre pierwiastki kobiecości, nasuwała pewne zastrzeżenia. Bardzo ładną i dobrze przygotowaną była scena dzwonek-kwiatów, dobre były chóry.

Stylowe, wspaniałe dekoracje i świetna reżyserja (p. Popławski) nadała przedstawieniu należne mu ramy. Nad całością czuwał dyrektor E. Młynarski, któremu za doskonałe prowadzenie orkiestry, jak i za wystawienie Parsifala należą się słowa najwyższego uznania.

Paula Lamowa-

TEATR NOWOŚCI

Noc Bachusowa. Operetka w 3 aktach, Granichstaedtena.

Jest rzeczą bardzo śliską kroczyć ścieżkami, wydeptanymi przez mistrzów, i dlatego, że się kiedyś coś komuś udało, wygrawać swoją sztukę na żardzewiałem loteryjnym kole szczęścia. Taki właśnie błąd popełnili panowie: Ernest Marischa i Br. Granichstaedten, pisząc „Noc Bachusową”.

Wiadomo, że doskonałą parodią klasycznej starożytności jest „Piękna Helena” Offenbacha. Spychanie homeryckich bohaterów i półbogów ze sztucznego koturnu na padół pospolitości miało posmak niesłychanie drastyczny w epoce panowania gimnazjum klasycznego, kiedy łaciną i greką zatruwano życie młodemu pokoleniu. Dzisiaj ta sprawa już nie jest aktualną. Homeryckie „koło szczęścia” strasznie skrzypi. „Piękna Helena” jest jednak zawsze parodią Iljady, a w tej parodii znać pazurek mistrza.

Autorowie „Nocy Bachusowej” nieco się przeliczyli z siłami. Stworzyli rzecz słabą, chaotyczną w treści, a muzycznie niezbyt interesującą. Nie może ona iść w porównanie z o rok późniejszym, a o całe niebo wyższym „Orłowem”.

Dyrekcja „Nowości” zrobiła jednak wszystko, aby temu parwenizowski sztuki dać oprawę poprostu królewską. Dekoracje, projektowane przez Karola Frycza, olśniewają bogactwem wnętrza pompejańskich, a niektóre kostjomy, umiejętnie zmodernizowane, mają tyle pomysłowości i smaku, że nie powstydzonoby się ich i w paryskich music-hallach. Messalka czaruje śpiewem, wspaniałą postawą i dystygowanym umiarem ruchów, Niewiarowska — sympatyczną łobuzerką.

Pewne pomysły inscenizacyjne, jak ugrupowanie „givlów” na schodach na tle złoto-purpurowego płaszcza Cezara, albo ukazanie się Messalówny we wspaniałym kostjumie z bladorożych piór, zaliczyć można do momentów niezwykle szczęśliwych pod względem malowniczości. Zato dowcipy polityczne, pozabawione głębszej pointy, przechodzą bez wrażeń i niepotrzebnie rozlekają całość, i tak nieco nużąca.



TEATR WIELKI

„Parsifal” Wagnera.

Motto: „Błogosławieni małuczyz duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”.

Te słowa Pisma Świętego są punktem wyjścia dla dramatu muzycznego Wagnera. Podanie o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu ujął w formę poezji Chrestien de Troye, truver francuski, a przełożył ją Wolfram von Eschenbach, którego historia o Parsifalu dała Wagnerowi impuls do stworzenia misterjum scenicznego.

Przed wielu, wielu laty król Titurel zbudował wysoko, w niedostępnych dla zwyczajnych śmiertelników górach — zamek Monsalwat, gdzie umieścił dwie święte relikwie: włócznię, którą przebito bok Chrystusa, i czare Ostatniej Wieczerzy, w którą spłynęła krew Pana na Krzyżu. Relikwii tych strzegą rycerze zakonu świętej czary „Grała” wraz z królem swym, Amfortasem, synem Titurela. Klingsor, zły duch, chcąc posiąść święte relikwie, wabi do swego czarodziejskiego ogrodu rycerza Zakonu; udaje mu się na-



KRÓTKIE WŁOSY I PAPIEROS

Niejednokrotnie wyobrażamy sobie, że krótkie włosy to świeży wymysł dzisiejszych sportowych czasów i skłaniania się mody ku prostocie i wygodzie. Mylne jest to mniemanie; moda zmienna, rządząca się fantazją, jest—jak słusznie nazwał ją jeden z filozofów—kaprysem, podniesionym do godności obowiązku. Że to wszystko już było, dowodzi dowcipne określenie jednej z dostawczyń nieszczęśliwej królowej francuskiej Marji Antoniny: „W modzie nowem jest tylko to, o czem zapomniano. Współzawodnictwo włosów długich i krótkich trwa od wieków, bo oto 3000 lat temu, królowa Saba odmówiła ręki swej Salomonowi, nie chcąc pozbyć się swych wspaniałych splotów, tak jak tego rytuał hebrajskiej religii wymagał. Ale nie szukajmy przykładów, tak odległych, znajdziemy ich dosyć w nowszych czasach. Pierwsza wojna krótkich włosów z niemożliwych rozmiarów fryzurą rozpętała się w XVII wieku. Pani de Sévigné pisze drwiąco w listach do córki o jednej z dam dworu królewskiego, zwolennicze skromnego uczesania: „Miała włosy krótko ucięte i zakręcone w papiloty, przyprowadzając ją o bezsensowność, skutkiem której jest—głowa okrągła, jak główka kapusty, bez żadnej z boku ozdoby“. Królowa Marja Teresa, żona Ludwika XIV, nosi również krótkie włosy, ale przykład jej działa odwrotnie, i wspaniałe uczesania biorą odwet z taką gwałtownością, że król, widząc śmieszność tych monumentalnych rusztowań z włosia i tektury, pokrytych drobnymi loczkami, koronowanych na czubku piórami i wstążkami, kilkakrotnie napróżno występuje przeciwko nim, uskarżając się na brak uprzejmości pięknych pań, które nawet dla uczynienia zadość woli króla, nie obniżyły ani trochę swoich niemożliwych koafiur.

Na rok przed śmiercią Ludwika XIV, zjawiają się na dworze Wersalskim dwie wysoko urodzone angielski, uczesane gładko według mody, przyjętej od jakiegoś czasu w ich kraju. Inowację tę dwór wita szeptem zgorszenia, zowiąc ją poprostu — skandalem. Król staje po stronie cudzoziemek i tym razem zwycięża. Nazajutrz, najpierwsze elegantki kasują 3 piętra swoich uczesań, pozostawiając zaledwie jedno, niektóre, nawet, posuwają chęć przypodobania się królowi do ostateczności i ucinają włosy na 3 palce od głowy. Pani de Pompadour, posiadająca bardzo małe włosy, uciekać się musi do przypinania fałszywych warkoczy, to też, dzięki niej, powraca moda wysokich

fryzur, których ostatnim wyrazem jest uczesanie we fregacie z rozpiętymi żaglami, żeglująca po oceanie drobnych loczków, przetykanych gałązkami koralu, mającymi naśladować dno morskie. Niewiadomo, do czego byłyby doszły wybryki mody, gdyby nie rewolucja, która je hamuje. Nastaje moda uczesań „A la Victime“ (w ofiarę) z włosami, wygolonemi na karku—wspomnienie gilotyny. — Uczesanie „à la Titus“ — w czasie Konsulatu, przypomina do złudzenia dzisiejszą garsonę. Czasy Pierwszego Cesarstwa przydłużają znowu włosy. Restauracja piętrzy je w olbrzymie pukle, a rok 1848 układa w gładkie sploty, Drugie Cesarstwo zdobi główki w pełne wdzięku pierścienie. I tak wciąż, aż do dzisiejszych, zdecydowanie krótkich włosów, przy których najpiękniejsze warkocze wyglądają na przeżytek. Co nam jutro przyniesie?

Jeżeli fajka, której pierwowzór znaleziono w przedpotopowych jaskiniach, a wizerunek człowieka, palącego fajkę, widzimy wyrity na medaljonie, zdobitym gmach z XI wieku, stara jest, jak historia o królu Herodzie, to papieros jest wynalazkiem zupełnie nowoczesnym. Piotr Louys rzucił zdanie, że XIX wiek wynalazł tylko jedną nową rozkosz, t. j. rozkosz palenia papierosa. W 1924 r. Ameryka święciła potrójną rocznicę, żywo interesującą palaczy: 125-tą cygara amerykańskiego, 300-setną produkcji tytoniu w Stanach Zjednoczonych i 200-setną fajki piankowej. 100 letni jubileusz papierosa przypadnie—mniej więcej za lat 15. — Około roku 1840 pierwszy raz zjawia się papieros w Europie. Zwyczaj palenia w ten sposób tytoniu przywieźli powracający z Afryki francuscy żołnierze, którzy tam widzieli współczesnych Abd-el-Kadera zwijających w liściach kukurydźowych wałeczki z tytoniu. Papieros pochodzi ze Wschodu, cygaro i tytoń z Ameryki. Towarzysze Krzysztofa Kolumba pierwsi ujrzeni cygara, a Jakóba Carttier w Kanadzie—piankowe fajki do tytoniu, gdyż nasi jaskiniowcy pra-ojcowie palili prawdopodobnie aromatyczne trawy. W początkach w. XVIII, jak i w późniejszych czasach, nieodłączną towarzyszką mężczyzn i wielu kobiet była—tabakierka, którą jeszcze w końcu ubiegłego stulecia starsi ludzie, choć w ukryciu rozkoszowali się. Dopiero w 1864 r. zapoczątkowany na większą skalę wyrób papierosów we Francji, a za nią i w innych krajach, usuwa na drugi plan fajkę i tabakierę. Pierwsza maszyna do wyrobu papierosów wystawioną była na wystawie powszechnej w Paryżu w roku 1878.



RADJOSTACJA WARSZAWSKA

Opisawszy ewolucję stacji odbiorczej, powinienem z kolei zająć się stacją nadawczą. W niej, bowiem, zaszły jeszcze większe zmiany i dzisiejsza radiostacja nadawcza, a zwłaszcza radiostacja broadcastingowa odbiegła daleko od pierwotnego typu Marconiego.

Nie będę jednak tych zmian opisywał, gdyż byłoby to znużające i dla Pani mniej przydatne. Zaznaczę tylko, że tak samo, jak w radjoodbiorniku, odegrała tu ogromną rolę lampa katodowa. Bez niej nie możnaby nawet marzyć o przesyłaniu dźwięków w przestworza.

Aby się w zasadniczych urządzeniach nowoczesnej radiostacji nadawczej zorientować, udajmy się na krótką przechadzkę do „Polskiego Radja”.

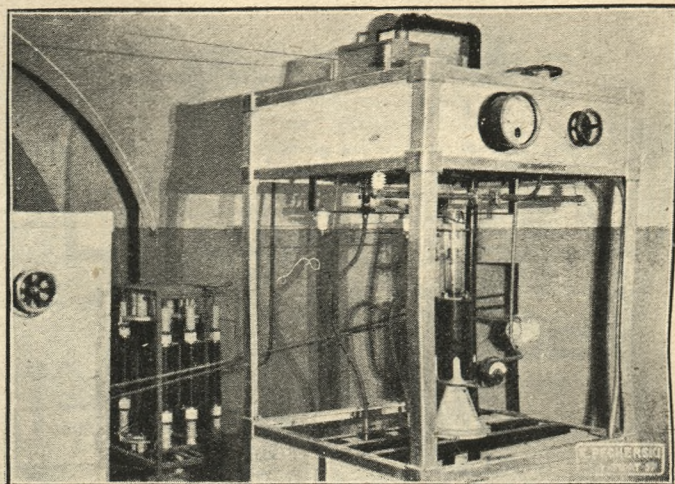
Stacja ta, zbudowana w roku ubiegłym (na miejsce niewielkiej stacji, którą przeniesiono obecnie do Krakowa), ma 10 kilowatów mocy i da się słyszeć w promieniu 200 kilometrów, przy odbiorze aparatem detektorowym, a w obrębie całego państwa, przy odbiorze aparatem jednolampowym.

Została ona wykonana według planów inż. Hella, obecnego jej kierownika i dzieli się na dwie różne części: mieszczące się w śródmieściu studio i właściwą stację, położoną na krańcach stolicy, na terenie fortu Mokotowskiego.

Studio czyni na zwiedzającym wrażenie kaplicy jakiegoś tajemniczego kultu. Wszędzie wiszą draperje, zakrywające sufit i ściany, miękki dywan tłumi szereg kroków i niczem jakiś emblemat stoi na trójnogu ten, co wywołuje nieraz dziwną treść u wielu wytrawnych prelegentów i artystów — mikrofon.



Wnętrze Studio

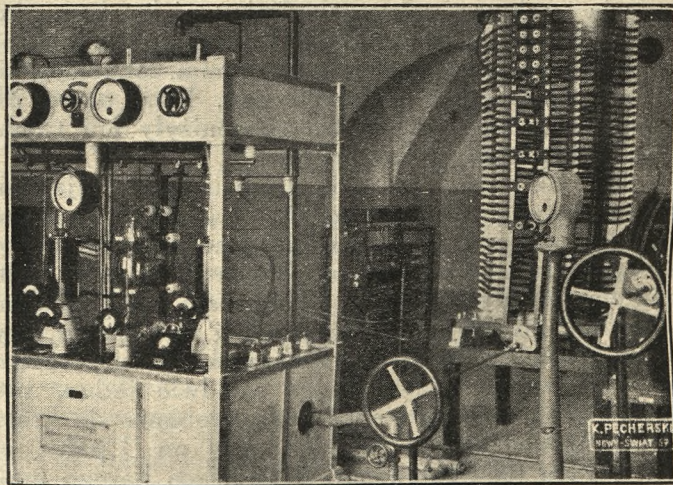


Oscylator główny

Zasada jego urządzenia nie wiele się różni od mikrofonu telefonu zwykłego i jest odwrotnością urządzenia słuchawki. Tutaj zmiany natężenia głosu wywołują drgania prądu elektrycznego. Mikrofon można też ustawiać i poza murami studio. Jednakże prąd, idący odeń, musi zawsze tu drogą kablową powrócić, aby przejść przez t. zw. pokój kontrolny. Prąd ten początkowo jest bardzo słaby (tysięczne części ampera), gdyż tylko w ten sposób można w nim osiągnąć zmiany przy pomocy słabych drgań dźwięku. Po uzyskaniu owych potrzebnych wahań prądu, będzie on stopniowo coraz bardziej wzmacniany.

Pierwsze wzmocnienie następuje w pokoju kontrolnym, gdzie przy pomocy specjalnych lamp katodowych osiąga on siłę 500.000 razy większą.

Najmniejszy szmer w takich lampach huczałby, jak grzmot w uszach radjosluchacza, a stuknięcie palcem rozległoby się echem piorunu. To też lampy te są umieszczone na bardzo elastycznych gąbkach gumowych i osłonięte pokrowcami z miedzi, połączonymi z ziemią, celem usunięcia wszelkich pobocznych wpływów elektrycznych. W pokoju kontrolnym siedzi ze słuchawkami przy uszach inż. Kiełpiński, który w miarę tego, co słyszy w ostatecznym nadaniu stacji, reguluje natężenie prądu.



Modulator

Wyregulowany i wzmocniony prąd przesyła się kablem do stacji, gdzie zostaje wzmocniony prądem z elektrowni, zachowując jednakże drgania pierwotne.

Prąd z elektrowni, nim może stanąć do pomocy prądowi ze studjo, musi ulec wyprostowaniu przez specjalnie do tego służące lampy katodowe, zw. kenotronami.

Prąd na stacji przechodzi najpierw przez wzmacniacz, podobny do wzmacniacza w pokoju kontrolnym, potem przez modulator, podnoszący jego napięcie do siły 10.000 volt.

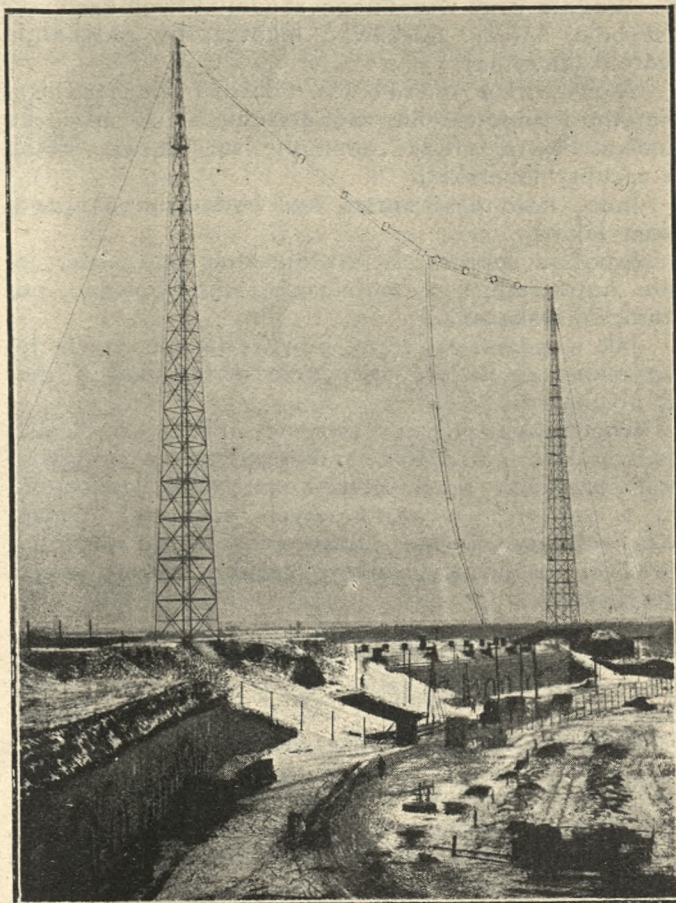
Modulator składa się z przezroczystych lamp szklanych, wielkości głowy dziecka, chłodzonych wodnym tuszem. Specjalny zegar wskazuje zmiany natężenia prądu.

Wreszcie przedostaje się do oscylatora, przyrządu z podobnymi lampami, wzmacniającego prąd do siły 20.000 volt i wywołującego w obwodzie anteny, oraz w otaczającym eterze oscylacje.

Wszystkie te urządzenia mieszczą się w kazamatach fortecznych, których groźne sklepione mury, niby średniowiecznych fortec, dziwnie kontrastują z najnowszymi cudami techniki.

Ważną rolę gra tu, jak zresztą i wszędzie, antena. Składa się ona z dwóch wież żelaznych, wysokości po 75 metrów każda, i rozpiętej między nimi anteny właściwej, mającej 80 metrów długości.

Kierownikiem stacji na forcie Mokotowskim jest inż. Wł. Rabęcki.



Antena na forcie Mokotowskim

Stacja warszawska należy pod względem swych urządzeń do jednej z lepszych stacji w Europie i prawdopodobnie już w niedługim czasie osiągnie moc nadawczą stacji berlińskiej.

Przy okazji wspomnę, że już w roku bieżącym Polska uzyska szereg nowych stacji: w Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Łodzi, Katowicach, Grudziądzu, Lublinie, Równem, które pozwolą 70% ludności naszego Państwa słuchać koncertów przez tani aparat detektorowy.

Br. L. Życki



Generator pomocniczy (Driver)

PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Do umocowania ran małych używa się kolodjum, przylepek, do większych—bandaży płóciennych. W jaki sposób należy bandażować—trudno jest pokazać bez specjalnego modelu i obrazka, ogólnie powiedzieć można, że obandażowanie nie przedstawia wielkiej trudności: trzeba tak przewiązać, żeby się trzymało, a chcących zobaczyć na obrazku dokładnie, odsyłam do książki: „Pomoc w nagłych wypadkach” — Dr. Hilarowicza; bardzo dobra i popularna książka, na której się wzorowałam i jako podstawę mych artykułów użyłam.

Wogóle przy wszelkiego rodzaju krwotokach jak najszybciej należy zawezwać lekarza, by radykalnie krwotok zatrzymał.

Apteczka domowa. Bardzo ważnem jest umiejętne i odpowiednie zaopatrzenie się w apteczkę domową. Pewne środki dostępne są dla wszystkich bez recepty lekarskiej.

Inne, natomiast, muszą być wydawane za pozwoleniem lekarza.

Środków lekarskich jest nieskończona ilość, jedynie najważniejsze i najbardziej wypróbowane postaram się wskazać.

Jak ważnym jest zapas pewnych koniecznych leków, zwłaszcza na prowincji, wie o tem każda niemal gospodyni.

Chciałabym jedynie zwrócić uwagę, że lekarstwa wszelkie muszą być przechowywane w odpowiednich szafkach pod kluczem; waty, opatrunki, gazy i opaski — w zamkniętych szklanych naczyniach, prymitywny ale dobry sposób jest przechowywać w cukiernicy, lub w garnku wygotowanym z przykrywką.

APTECZKA DOMOWA

Środki najkonieczniejsze

Środki, wydawane tylko za receptą lekarza:

Środki, uśmierzające bóle żołądka:

- 1) Tynktura opjowa (wyciąg z makowca).
- 2) Tannalbina po 1—2 gr. dziennie w czasie biegunki.
- 3) Proszki z siarczynu miedzi 1—2 proszki dziennie.

Środki nasenne i uspakajające.

- 1) Tynktura opjowa.
- 2) Brom w roztworze 10 gr. na ćwierć litra wody — jest środkiem nasennym; przy zdenerwowaniu, epilepsji użyć 1 łyżkę.

Środki dezynfekcyjne, mycie i opatrwanie ran.

- 1) Tynktura jodowa do pędzlowania ran.

Środki, wydawane bez recepty lekarza:

Środki, uśmierzające bóle żołądka:

- 1) Krople Inozemcowa
- 2) Soda (dwuwęglan) oczyszczona.
- 3) Magnezja palona, przy pieczeniu w żołądku po ½ łyżeczki od herbaty.

Środki na wymioty:

Dzieciom — wino ipekakuanowe, łyżeczkami co ½ godziny, do skutku.

Środki dezynfekcyjne, mycie i opatrwanie ran:

- 1) Nadmaganian potasu. Ciało stałe — 1/2 łyżeczki na litr wody, otrzymany płyn rozpuścić znowu w szklance wody — łyżeczka na szklanę.
- 2) Kwas borny — łyżeczka na szklanę gorącej wody.
- 3) 3% woda utleniona — łyżka na szklanę wody.
- 4) Kolodium w dobrze zamkniętej butelce.
- 5) Oliwa i woda wapienna — rozczyń pół na pół do opatrwania poparzeń.
- 6) Wazelina borowa.
- 7) Plaster obojętny — w pudełkach zamkniętych.
- 8) Gaza sterylizowana biała.
- 9) Gaza jodoformowa.
- 10) Wata biała sterylizowana w paczkach.
- 11) Opaski.

Środki przeczyszczające.

- 1) Sól gorzka (Morszyńska). Należy wypić 1-3 łyżeczek od kawy w szklance zimnej wody.
- 2) Woda gorzka (Morszyńska, Apenta, Hunyadi) używać 1-2 szklanek naczczo.
- 3) Olej rycynowy — dawać dorosłym 1-2 łyżek z gorącą czarną kawą, lub w kapsułkach.

Dr. med. Julia Świątalska.

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

ZNIŻKA 33%

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI”

Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali”, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali” zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji.

Specjalną uwagę poświęcać będzie kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek umysłowych.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu” powinna natychmiast przysłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14.400.

„Na fali” ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — pierwsze dwa numery już wyszły z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99. Adres Administracji — Górnośląska 19.

WIELKI TYDZIEŃ

Tydzień, w którym każda pani i każda służąca radaby spełnić obowiązki religijne, biorąc udział w nabożeństwach dnia każdego—od środy do soboty włącznie,—i w którym, przy nieumiejętnym podziale prac, zajęcia domowe, obowiązki gospodarcze stale temu stają na przeszkodzie.

Jedyną radą, aby temu zapobiec, jest ułożyć sobie jeszcze w sobotę poprzednią, lub w kwietną niedzielę dokładny spis prac do wykonania: porządków domowych, których nie zdążyliśmy wykonać uprzednio, sprawunków do załatwienia w pierwszych dniach tygodnia (nigdy—w ostatnich!), ułożenie dokładnego jadłospisu mięsów, sałat, ciast na święcone, drugiego—potraw codziennych na każdy dzień tygodnia i produktów, na nie potrzebnych, spis napojów, jakie mamy przygotować na dzień świąteczny, наконец—w codziennym programie,—podzieliwszy te wszystkie zajęcia na poszczególne dni tygodnia, znaleźć chociaż godzinę dla pani i takąż dla sługi, (lub kilku służących), dla poświęcenia jej modlitwie. Właściwie w sobotę, dzień najgorętszej pracy, można nabożeństwa zaniechać zupełnie, gdyż w Wielki Piątek odbywają się najważniejsze obrzędy na pamiątkę Męki Pańskiej i można na szczerem pomodleniu się w dniu tym poprzestać.

Zacniemy od poniedziałku. Zrana należy odeśłać do uwędzenia szynkę wieprzową i cielęcą, kiełbasy i t. p. mięsów, o ile je marynowaliśmy w domu, mieszkamy w mieście i własnej wędzarni nie mamy. Wyborny sposób, polegający na namoczeniu mięsów na godzin 12 w odwarze sadzy drzewnej, przeważnie dzisiaj może być stosowany tylko na kresach, gdzie jeszcze piece są opalane drzewem,—tam, gdzie na opał li tylko węgla się używa, niesposób dostać owych „sady drzewnych“.

Rano też należy wykończyć wszelkie sprzątanie, pozostałe z uprzedniego tygodnia, szczególnie zaś prasowanie, tak chętnie pozostawiane przez służące na ostatnią chwilę.

O ile nie załatwiliśmy tego wcześniej, kupić mąkę, cukier, jaja, korzenie, owoce (cytryny, pomarańcze i t. p.). Pod wieczór należy załatwić wszelkie zakupy drobiu i mięsów, — zrana w poniedziałek jest po niedzielę zwykle mały wybór tych towarów. We wtorek można przyprawić wszelkie likiery, nalewki i wódki.

Kto piecze dużo mazurków, może upiec gatunki najtrwalsze i niecierstwiejące, np.: cygański, królewski, w zimnej wodzie podchodzący i t. p. W każdym razie pokleić z opłatków formy pod mazurki i upiec podstawy pod nie z kruchego ciasta. Wieczorem sparzyć i oczyścić migdały słodkie i gorzkie, poprzebieierać rodzenki, pokrajać cykaty i bakalie, utłuc korzenie, — zawsze pamiętając, co i w jakiej ilości do jakiego ciasta, lub farszu przeznaczamy. Najlepiej, nie dowierzając własnej pamięci, wszystko sobie notować na papierze, i na każdym przygotowanym artykule kłaść kartkę w rodzaju: „migdały słodkie, na mazurek czekoladowy, 40 deka“ i t. p. We środę rano pieczemy mazurki pieczone, po nabożeństwie i po obiedzie robimy mazurki z mas i gotowane. Wieczorem należy uduzić wątróbkę i mięsów, przeznaczone na pasztet.

We czwartek rano należy zakupić kwiaty, czy inną zielen do ubrania stołu, (w ostatnie dni w sklepach pozostają same resztki); trzymając je w zimnem,

a ciemnem miejscu, przechowamy je świeżuchne do niedzieli, trzeba tylko wybierać doniczki o niezbyt rozwiniętych kwiatach, szczególnie stosuje się to do roślin cebulkowych: hjacyntów, tulipanów, narcyzów.

Po kościele i wczesnym obiedzie należy się serjo zabrać do roboty. Pieczemy, czy gotujemy szynki, pieczemy pasztet (zemleć, przetrzeć i zaprawić nań masę należy rano, przed wyjściem z domu).

We czwartek pieczemy też krążki na wszelkiego rodzaju torty, przełożenie ich masami, ulukrowanie i ubranie pozostawiając na sobotę. Zwieczora siejemy i przygotowujemy mąkę na ciasto drożdżowe. Kupujemy drożdże, aby były najświeższe.

Cały dzień Wielkiego Piątku poświęcony jest najtrudniejszej i najmudniejszej pracy: pieczeniu ciast drożdżowych. Ponieważ w Wielki Piątek Mszy świętej niema, należy wybrać chwilę między wyrobieniem ciasta, a wsadzeniem go w piec, i wyjść na godzinkę na „groby“.

Wieczorem moczemy, oprawiamy, szpikujemy i nadziewamy wszelkie mięsowo, prosiaki, drób, aby w sobotę od świtu jeszcze zająć się ich pieczeniem i duszeniem. Wczasie, kiedy mięsowa się pieką i duszą, należy ugotować i ufarbować jaja na twardo, utrzcć i zaprawić octem chrzan, przyrządzić sosy: majonezowy, musztardowy, tatarski, lub „cumberland“. Około południa zaczynamy przyprawiać masy do przekładania tortów, lukry do ciast i mazurków; starać się należy wszystkie te roboty ukończyć przed godziną piątą, aby jeszcze poukładać mięsów na półmiskach i przed rezurekcją, która w większych miastach prze-ważnie się już o 8, czy 9 zaczyna, nakryć stół do Święconego, ustawić na nim ciasta i kwiaty, napoje, naczynia, sztucce, ubrać wkoło zielenią: widłakami i buk szpanem, lub borówkowemi listkami.

Mięsowa, już ułożone na półmiskach, sosy i kompoty, wynosimy na chłód i dopiero w pierwsze Święto rano ustawiamy na swoich miejscach.

Niema potrzeby ślepo się stosować do rozkładu zajęć, tu podanego. Ułożyłam go, jako przykład, żeby przekonać mniej doświadczone gospodynie, że różnorodnym zajęciom Wielkiego Tygodnia, nie zamęczając siebie, ani służby, podołać można.

Każdy według swoich potrzeb i możliwości inny rozkład, może dużo praktyczniejszy, ułożyć potrafi, — rozkład jednak jakikolwiek jest niezbędny, aby zajęcia jedne drugim nie przeszkadzały i aby ich zbyt dużo na dzień ostatni nie pozostało.

Jako w ostatniej pogawędce przedświątecznej—wszystkim moim Czytelniczkom wesołego „Alleluja“ i udanych bab: lekkich, pulchnych i bez zakalca — życzę.

Pani Elżbieta.





BABA PUCHOWA WOŁYŃSKA

Czterdzieści żółtek bez zarodków (które obciążają ciasto), trzec w makutrze, aż zbieleją, dosypywać potrochu dwa kubki mąki pszennej, najlepiej krupczatki, (wałcówki), łyżeczkę soli i ucierać nie mniej, jak pół godziny. Wsypać kubek migdałów słodkich, w tem kilkanaście ziarn gorzkich, oczyszczonych i zmielonych jaknajdrobniej, wlać dziesięć deka drożdży, rozpuszczonych w półszklance śmietanki, ucierać jeszcze kwadrans, nakoniec wsypać kubek cukru i ucierać znów pół godziny. Formy wysmarować masłem, wysypać bułeczką, nalać ciasta trzecią część formy. Gdy tak wyrośnie, że na trzy palce nie będzie dochodziło do brzegów, wsadzić w piec średnio gorący. Piec około pięciu kwadransów. Zachować wszelkie zwykłe ostrożności przy wyjmowaniu z formy, gdyż baba ta, nadzwyczaj lekka i smaczna, łatwo opada.

MAZUREK CZEKOLADOWY

Czterdzieści deka mąki, dwadzieścia deka cukru, trzydzieści deka masła i jedno żółtko zagnieść na kruche ciasto, rozwałkować na pół palca, uformować zgrabny mazurek, upiec w średnio gorącym piecu. Czterdzieści deka dobrej, waniljowej czekolady rozegrać w rondlu, gdy zmieknie, wlać kwaterek śmietanki, dziesięć deka śmietankowego masła, dwadzieścia deka cukru i całowy kawałek wanilji. Gotować, mieszając wciąż, na bardzo wolnym ogniu, aż masa będzie pokrywała łyżkę, prawie z niej nie spływając. Zdjąć z ognia, stygnącą już pokryć grubo kruche ciasto i wynieść na godzin parę na chłód, aby dobrze zastygło.

MAZUREK WYKWINTNY

Dwanaście żółtek z jaj na twardo ugotowanych utrzeć na masę z 40 deka cukru (pudru), czterdzieści deka utartej dobrej czekolady i dwudziestu deka drobno zmielonych, oparzonych i oczyszczonych migdałów słodkich. Wyrabiać długo, aż masa stanie się zupełnie gładka, wziąć dwa równe opłatki, pokryć obydwą tą masą. Dwadzieścia deka migdałów oczyszczonych uprażyć w piecu do zrumienienia, utłuc jaknajdrobniej. Dwadzieścia deka śmietankowego masła utrzeć do białości, dwadzieścia deka cukru (pudru) zmieszać z prażonemi migdałami, masą tą przełożyć oba placki. Ugotować gęstą pomadkę z dwudziestu deka czekolady, dwudziestu deka cukru, półkwatka śmietanki i łyżeczki śmietankowego masła. Gęstniejącą tą masą posmarować powierzchnię i wkoło mazurek i dobrze zastudzić.

BABA CHLEBOWA

Babę chlebową należy piec w płaskim rondlu, w zwykłej formie do bab nigdy prawie się nie udaje. Dwadzieścia pięć żółtek utrzeć do białości z czterdziestu deka cukru i dwudziestu deka utartych drobno migdałów (w tem dziesięć sztuk gorzkich). Skoro masa będzie pulchna i dobrze jej przybędzie, dodać dwadzieścia deka mąki, zrobionej z ususzonego, utłuczonego i przesianego przez sito chleba razowego. Dodać cztery goździki i kawałek cynamonu, utłuczone i też przesiane. Wymieszać dokładnie masę, dodać białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie, aby piana nie opadła. Natychmiast przełożyć do płaskiego rondla, wysmarowanego masłem i wysypanego bułeczką, i wstawić w wolny piec, gdzie się piecze około godziny. Próbować cienkim patyczkiem: gdy ciasto doń nie przystaje, baba ma dosyć. Dać nawpół przestygnąć w formie, aby przy wyjmowaniu nie spowodować zakalca.

ŚLIWOWICA NA PRĘDCE

Pół kilo dobrych francuskich śliwek zalać litrem spirytusu i litrem przegotowanej wody, dodać kawałek kwasu cytrynowego, rozmiaru ziarenka fasoli, lub też wcisnąć sok z pół cytryny. Gąsior zakorkować doskonale, korek obwiązać pergaminem, zamoczyć w parafinie. Postawić na dzień na bardzo słoneczne okno, na noc wstawiać w letni jeszcze piec, lub pod blachę, uważając, jednak, aby nie było zbyt gorąco, aby gąsior nie pękł. Po tygodniu wódkę zlać, powinna być zupełnie czysta i nie potrzebować filtrowania. Na pozostałe śliwki nasypać dwie szklanki cukru i dalej stawiać na słońce i do pieca, aż się cukier rozpuści. Zlać uformowany likier, bardzo aromatyczny i doskonały do ciast wielkanocnych.

KSIAŻKA

p. t.

„PISANKI”

mówi o pochodzeniu pisanek i tradycjach, z niemi związanych, oraz uczy, jak zdobić i czem barwić

:- :- :- jajko wielkanocne. :- :- :-

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „Życia Praktycznego”. Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

PLACEK POMARAŃCZOWY

Cztery pomarańcze malinowe pokrajać w cienkie plastry i usmażyć z 30 deka cukru, rozpuszczonego w szklance wody. Smażyć bardzo wolno; gdy pomarańcze przezroczyste, ostudzić, odcedzić syrop, dać pomarańczom obeschnąć nieco na sicie. Wziąć ciasta drożdżowego, przygotowanego na baby, lub placki, rozciągnąć cienką warstwę w formie, położyć na to rząd pomarańcz smażonych, pokryć znowu warstwą ciasta, znów położyć pomarańcze, pokryć trzecią warstwą ciasta. Dać dobrze podrosnąć i upiec w piecu. napalonym, jak na baby. Po upieczeniu, placek wyrzucić na poduszkę, pokrytą papierem, i—zanim ciasto gorące—polać je powierzchnią obficie syropem, pozostałym z pomarańcz, zmieszany z dużym kieliszkiem likieru pomarańczowego, lub maraskino.

TORT ŁATWY A WYŚMIENITY.

Szklanek śmietany, szklanek cukru, dwa całe jaja, łyżeczkę od kawy sody i mąki tyle, ile się wgniecie, uważając, aby ciasto nie było twardszem od tego, co się robi na pierogi. Podzielić to ciasto na 15 równych części, rozwałkować cienko, jak na domowy makaron, starając się robić krążki jednakowego kształtu i rozmiaru. Krążki te upiec kolejno pod blachą, przewracając je, aby się równo z obu stron zrumieniły. Jeden krążek odłożyć. Dwie szklanki najlepszej śmietany ubić na krem, zmieszać z pół szklanką cukru, utłuczonego z wanilią, przygotować dwie szklanki konfitur truskawkowych, malinowych, lub morelowych. Smarować kolejno jeden krążek bitą śmietaną, drugi—konfiturami, układając jeden na drugi. Trzydzieści deka masła utrzeć w donicy na śmietanę, dodać pół szklanki cukru (pudru), utartego z dwoma żółtkami, kieliszek likieru (maraskino, abricotine, waniljowy) i kieliszek bardzo mocnej kawy, ugotowanej bez cykorji. Gdy masa ta gładka, obrócić wkoło tort ostrym nożem, posmarować kawową masą. Pozostały piętnasty krążek ciasta utłuc grubo w móżdżerzu, obsypać boki tortu i zrobić rancik na wierzchu. Środek tortu ubrać owocami smażonemi, lub konfiturami, osączonemi z syropu. Tort ten należy podawać dopiero we 24 godziny po zrobieniu.

TORT MARCEPANOWY

Czterdzieści deka migdałów słodkich i 20 ziarn gorzkich, oparzyć, obrać z łupin i utrzeć jaknajdrobniej na tarce, lub specjalnie do tego przeznaczonej maszynie, (w żadnym razie nie tłuc w móżdżerzu). Półtora funta pudru (nie kryształ!) zmieszać ręką z masą migdałową, zwilżając potrosze wodą różaną i wyrabiać rękami, aż masa się stanie zupełnie jednolitą i kruszyć się przestanie. Wtedy ją rozdzielić na dwie nierówne części. Większą rozwałkować na grubość pół centymetra, wyciąć z niej możliwie duży krążek, z drugiej—porobić wałeczki, grubości małego palca, przylepić je różaną wodą wkoło i nałożyć z nich jakie chcąc desenie wśródku. Łyżeczką maczaną w wodzie różanej, ukarbować ładnie te wałeczki. Marcepan, ułożony na desce, przykrytej pergaminem, lub woskowym papierem, pokryć dużą żelazną brytfanną. Nasypać rozża-

rzonych węgli drzewnych, dmuchać na nie, lub rozżarzać je mieszkim, aby się brytfanna zwierzechu rozpałała. Często zaglądać pod nią, aby marcepany się nie przypaliły. Gdy tylko wałeczki po wierzchu się ładnie zarumienia, brytfannę z węglami usunąć i dać marcepanom ostygnąć. Czterdzieści deka cukru zmoczyć wodą, zagotować, próbować, biorąc po kropli na wilelec i zdmuchując z niego; gdy się ciągnie cienka nitka, wylać na miskę i ucierać drewnianą łyżką, wcisnąć sok z pół sporej cytryny i nieco drobno utartej skórki cytrynowej, — nakładać tą białą masą puste miejsca pomiędzy wałeczkami. Gdy pomadka zastygnie ubrać tort smażonemi w cukrze owocami, skórkami cytrynowymi i pomarańczowemi, smażonym dzięglem i ajerem, konfiturami, osączonemi z syropu. Nakoniec przesunąć ostrożnie na podstawę do tortu, pokrytą koronkowym papierem. Jest to przepis oryginalny królewiecki, skąd, jak wiadomo, najlepsze marcepany pochodzą.

MAZUREK BAKALJOWY

Upiec podstawę z kruchego ciasta, jak zwykle pod mazurki, biorąc czterdzieści deka mąki, dwadzieścia deka cukru, jedno jajko i dwadzieścia deka masła, lub bardzo dobrego smalcu. Trzy żółtka utrzeć na gogel-mogel z półtora szklanką cukru (najlepiej pudru) wsypać w to szklanek koryntek, pół szklanki sultanek, po szklance krajanych w paski fig i daktyli, parę łyżek smażonych skórek pomarańczowych, lub cytrynowych, wcisnąć sok z całej cytryny. Ubić pianę z sześciu białek, wymieszać ostrożnie z bakaljami i masą żółtkową, ułożyć równą warstwą na kruchem cieście i upiec w bardzo wolnym piecu, uważając, aby tylko lekko usechł i trochę się zrumienił. *Pani Elżbieta.*

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu” będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowem. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3. według poniższego wyliczenia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej.

„Mój Krem”	6 zł.
Mój Puder higieniczny we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretka na łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampon higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowe	3 „ 50 gr.
Perelki do kąpieli przemiennych	5 „
Perelki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

Prenumeratorki „Bluszczu”, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysyłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości, co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czem są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdławiają się na końcach? Pozatem subiektywne uczucie pieczenia, swędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, czy sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Naświetlania. Dostałam dużo pytań, jak należy naświetlać lampą górską. Można ogólnie powiedzieć, że naświetlania dają doskonałe wyniki przy łojotokach. Ile razy, ile minut, jak trzeba naświetlać, może tylko lekarz naświetlający rozstrzygnąć. Zależy to od palnika (stary, czy nowy), od odległości naświetlanego, od ilości czasu, i od wrażliwości skóry, która jest b. indywidualnie wrażliwa.

Szkoła kosmetyki. Stałej czytelniczce „Bluszczu”. Przyjmuję wszystkie pisemne zgłoszenia uczennic do szkoły kosmetycznej. Narazie o terminie rozpoczęcia szkoły nie mogę dać żadnej odpowiedzi. Czas trwania 3—4 miesięcy, opłata 100 zł. miesięcznie, szkoła będzie dawać dyplom ukończonej wykwalifikowanej kosmetyczki. Przedmioty wykładowe: Anatomia fizjologia, fizyka, kosmetyka, masaż (tylko kosmetyczny), fizyczne wychowanie, farmaceutyka i t. d., przepisy sanitarne. 2 godziny codziennie wykładów i ćwiczenia praktyczne. Zgłoszenia: Krucza 31 m. 3. Ze względu na ograniczoną ilość miejsc, zgłoszenia kolejno będą uwzględniane. Zamówienia kosmetyków do sumy 20 zł, wysyła się za zaliczką, powyżej — za gotówkę. Koloru pudrów się nie zmienia.

Kresowianka — Mycie włosów. Trzeba poznać przyczynę wypadania włosów, dopiero można skutecznie radzić. Dla wzmocnienia włosów, myć mydłem płynnym Dr. J. Świtalskiej. Sposób użycia: łyżka na mokrą głowę, wetrzeć, po pięciu min. obficie spłókać. Do ostatniego spłókania użyć 4 łyżki rumianku suchego na litr wody, łyżkę wody utlenionej i łyżkę octu. Nie należy zbyt często myć włosów: szampiony drażnią skórę i w ten sposób powodują zwiększone wydzielanie gruczołów łojowych, i potrzebę coraz częstszego mycia — 2 do 3 razy tygodniowo. Włosy są tłuste mimo mycia.

Hanna. Odkładanie się tłuszczu na brzuchu jest, niestety, powszechną wadą u większej ilości kobiet. Dla usunięcia tej przykrej wady, konieczne jest stosowanie masażu i gimnastyki. Obecnie jedynie tą drogą można usunąć tę przykrą dolegliwość. W drugiej połowie ciąży konieczne jest noszenie pasa, niestety, tę kardynalną zasadę nie wszystkie kobiety dotąd przestrzegają, stąd bardzo przykre defekty pozostają na całe życie.

Stanisławie. Jeśli siostra ma ataki tylko przy wyczerpaniu i zmęczeniu, niech unika zmęczenia. Ataki nerwowe i epileptyczne są do siebie bardzo podobne. Odróżnić może lekarz specjalista. Przy starannem, odpowiednim leczeniu może być znaczne polepszenie i długie okresy spokoju. Dr. med. J. Świtalska

Pani J. Smorawińska w Turku. Jeżeli wino Pani pokryło się zielonkawą pleśnią i ma smak wyraźnie pleśniawy, nic już na to poradzić nie można, przynajmniej nie doradzić sposobem domowym, bez pomocy laboratoryjnej. Jeżeli pleśń jest biała, należy ją tylko usunąć starannie, a dużej szkody nie powinna była pleśń taka spowodować. Gorzej jest z tem, że wino Pani stało na chłodzie i nie fermentowało należycie. Niech Pani popróbuje, — o ile ono

nie skwaśniało i nie ma zapachu octowego, lub innego przykre wzbudzić ponowną fermentację w sposób następujący: na czterdzieści litrów wina wziąć kilo rodzenków, (sułtanek), namoczyć je na 24 godziny w wodzie (parę litrów wody). Gdy dobrze rozmiękną, rozgnieść je doskonale, wycisnąć jaknajmocniej, sok ten zagotować i ostudzić. Wrzucić doń kilkanaście rodzenków surowych, zakorkować i dać sfermentować; gdy płyn ten zacznie się burzyć, wlać go do gąsiora z winem, zakorkować jak zwykle, wstawić rurkę fermentacyjną, zalać korek parafiną, aby powietrze nie dochodziło, postawić w cieple. Jeżeli wino nie było ostatecznie zepsute, taka ponowna fermentacja może je uratować. W ogólności jednak ogromnie trudno jest dawać porady na odległość, nie mając przed sobą próbki zepsutego wina. Przy winach owocowych w szczególności nie można dosyć zalecać szczegółowego i dokładnego stosowania się do przepisów podawanych, wszelka niedokładność mści się potem i ponosi się podwójną szkodę: stratę zepsutych materiałów i stratę cennego czasu.

P. Ostoja z Zielonej. Nie omieszkamy latem podać żądanych przepisów konserwowania wszelkich jarzyn. Żądany przepis pasztetu z kapusty podaliśmy w poprzednim numerze „Bluszczu”.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran —	zł. 2,50, poduszka —
serwetka —	zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

DO DZISIEJSZEGO NUMERU ZAŁĄCZAMY TRÓJBARWNY PROSPEKT Z PRZEPISAMI NA SZEREG SMAKOŁYKÓW WIELKANOCNYCH

Przepisy D-ra Oetkera, sławne od dziesiątków lat na zachodzie Europy, obecnie znajdują także w Polsce coraz szersze zastosowanie. Niedawno temu preparaty D-ra Oetkera nagrodzono na Wystawie Higieniczno-Spożywczej we Lwowie złotym medalem. Pieczone według wskazówek D-ra Oetkera mazurki, baby, placki i torty udać się muszą, są przytem smaczne, zdrowe i — tanie. Słusznie wskazuje prospekt na to, że można być oszczędnym, a mimo to nie odmawiać sobie w domu tego, co uprzyjemnia życie.

Kto dzisiejszego prospektu nie otrzymał, niechaj zwróci się po bezpłatne dostarczenie wprost pod adresem: Dr. A. Oetker, Oliwa; stamtąd otrzymać można również bezpłatnie książeczkę z przepisami.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.